

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 41. Warszawa, dnia 2 (14) Października 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . „ 4 —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.
miesięcznie. . . „ „ 50	w Prusach „ 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

BONY.

Nieprawdaż czytelniczko że sam wyraz: „bona,“ dobre i jakby efektowne robi u nas wrażenie?

Wszakże dzieci „pod okiem bon“ wychowywane, to już muszą być dzieci do.. wyższej klasy należące; to słowem coś „lepszego,“ coś co do dobrego tonu i arystokratycznych manijer należy.

O! bo i o tem wiesz zapewne czytelniczko łaskawa, że u nas dla „dobrego tonu,“ dla „szyku“ wiele bardzo się robi.

Dla „szyku“ zaniedbuje się nieraz najdroższe skarby uczuć rodzinnych, dla „szyku“ odpycha się od siebie świętę obowiązki matki, dla „szyku“ wykoszlawia się zawczasu wychowanie dzieci, dla „szyku“ więc wreszcie płaci się i utrzymuje *bony*.

Bądź co bądź jednak, czyby nie należało zastanowić się nad pytaniem: czem właściwie jest bona—i jakie jej stanowisko, nieze względów „dobrego tonu“ ale z racyjonalnych zasad pedagogiki w społeczeństwie przypada? Sądzimy, że zastanowienie się podobne matek zwłaszcza naszych, nie byłoby od rzeczy i dla tego też, chcielibyśmy w kwestyi bon wypowiedzieć słów kilka.

Mimo długiego zaniedbania, pedagogika, podniosła się już u nas o tyle, że kwestyja: czem jest *pierwiastkowe* wychowanie dziecka, nawet dla mniej rozwiniętych umysłów, nie przedstawia się bynajmniej w formie niedostępnej tajemnicy książkowej; a chociaż kwestyją tę rzadko kiedy umiemy zastosować w praktyce, to jednakże w teoryi pojmujemy ją najwięcej w sposób arcy-poważny i mniej więcej wszyscy.

Nic wreszcie dla matek naszych łatwiejszego, jak przy lada sposobności rozwodzić się nad wielkością zadania, jakie na niej wkłada, stawianie pierwszych kroków dziecięcych, nad ważnością i donioślością pierwotnych macierzyńskich trudów i t. p.

Zamiast więc powtarzania w kwestyi pierwotnego wychowania oklepanych teoryj i ładnie brzmiących.... frazesów, wolimy natomiast zaznaczyć wprost, że w wychowaniu tem właśnie, bona pierwszą po matce i bodaj czy nie ważniejszą w wielu razach obejmuje rolę.

Bona bowiem w owej najważniejszej epoce fizycznego i moralnego rozwoju każdej istoty ludzkiej, staje się nieodstępną towarzyszką wychowanka, a towarzystwo to właśnie wywiera stanowczy nieraz wpływ, na przyszłość i charakter dziecka. Bona nie wiedząc nawet niestety o tem, zaszczepia w młodocianej duszy pojęcia, których później żadna siła może nie wyprze, bo zaszczepia je wtedy, kiedy wyobraźnia w całej duchowej atmosferze wychowanka jest wszechwładną panią i kiedy wszelkie wpływy i wrażenia pierwotne najtrwalszemi się stają.

Dzieci w czasie powierzania ich bonom bywają „najciekawsze,“ zarzucają więc swoją towarzyszkę mnóstwem najrozmaitszych pytań; ważną więc bardzo jest rzeczą, w jaki sposób pytania te zaspokojone być mogą [1]) Bona więc słowem może najłatwiej na umyśle i charakterze powierzonej sobie istoty odcisnąć albo dodatnie, albo ujemne a stanowcze zazwyczaj znamię i z tego też względu stanowisko jej w obec kwestyi pierwotnego wychowania, nabiera doniosłości której chyba tylko krańcowe zacofanie i apatyczna ślepota nie zechciałyby uznać.

Naturalnie niepodobna jest żądać i nie wymagamy też bynajmniej od bony, wysokiej inteligencyi ani systematycznego wykształcenia bo posiadając warunki te, każda bona nauczycielką przecież zostaćby wolała; ale koniecznem jest aby każda bona, obok średniej intelligencyi i średniego wykształcenia ogólnego, odznaczała się przytem przymiotami charakteru i serca, jakich zadanie jej z samej natury rzeczy i bezsprzecznie wymaga.

Bona, obok cierpliwości, jak największej dozy zdrowego rozsądku, wreszcie łagodności i t. p., musi być nadto przejęta miłością nietylko powierzonych sobie dzieci, ale miłością wszystkiego co dzieci te otacza, i wpośród czego w przyszłości żyć i pracować mają, miłością przeto *wszystkiego co rodzinne i swojskie.*

Tych to przymiotów i warunków nie już względy czysto pedagogiczne, ale sama choćby rozsądna miłość rodzicielska od bon wymagać się zdaje, a czy wymagają ich właśnie i o ile rodzice nasi?

Ha... zobaczemy to bliżej na pierwszym lepszym przykładzie.

Państwo *Q* są średniej zamożności właścicielami ziemskimi. Mają troje dziateczek z których najmłodsze, dajmy na to cztery, najstarsze sześć lat liczy. Pani *Q* nie może sobie „dać rady z dziećmi“ potrzeba jej więc bony i dla zaradzenia potrzebie tej wypisuje pierwszą lepszą Szwajcarkę, Francuzkę lub Niemkę,

Szwajcarka wprawdzie doiła sobie do niedawna jeszcze szwajcarskie krówki, Francuzka była dość zręczną „kawiareczką“ w Pa-

ryżu, Niemka gotowała niemieckie wasserzupki w jednej z restauracyj berlińskich, ale to wszystko nie przeszkadza aby jedna z tych zagranicznych „znakomitości,“ nie miała przyjąć u państwa Q. obowiązku „dobrzepłatnej“ bony. Państwu Q nie idzie zresztą bynajmniej o kwalifikacyje wychowawcze jakie bona dla dobra ich dzieci posiadaćby powinna, bo państwo Q chcą tylko aby ich Kazia, Janio i Zygmuś wyuczyły się „choć jednego“ z obcych języków.

Jaka to będzie mianowicie owa nauka, „jednego z obcych języków“ czy będzie gruntowniejszą i długotrwałą, czy w późniejszem kształceniu przyda się na co, i czy nauka ta wreszcie nie forsuje zbyt wcześnie pamięci dziecka, ze szkodą umysłowych władz innych, w to wszystko państwo Q. nie wchodzą wcale, bo też co prawda, to i nie znają się na tem zbyt wiele.

Niemka tedy czy Szwajcarka opiekująca się przed chwilą kuchnią albo krowiarnią, obejmuje teraz wychowawczą opiekę nad dziećmi, i... uczy je; ale czego właściwie? Niby to papuziej paplaniny „obcym językiem“ a właściwie uczy przy każdej sposobności, lekceważenia jeżeli nie pogardy tego co krajowe, co nasze.

Dla Niemki wszystko np. co nie trąci Berlinem nie ma żadnej zgoła wartości; dla Francuzki znów tylko paryzka kawiarniana blaga przyświeca; wszystkie więc zagraniczne te gusta, wsiąkają w rozwijające się umysły pupilów, wyrabiając w nich zawczasu obojętność dla własnego gniazda.

Przyznacie zapewne czytelnicy, że przykład taki nie jest bynajmniej naciągniętym; że raczej wziętym on jest wprost z życia, i że przykładów u nas podobnych na tysiące liczyćby można.

Nie mówiąc już bowiem o szczupłej zresztą sferze spruchniałej naszej „arystokracyi,“ gdzie każde dziecko zostaje pod opieką kilku naraz zagranicznych indywidyów, i gdzie zresztą zagranicomanija pochłania wszystkie obywatelskie uczucia, pomijając już mówimy, kosmopolityczną tę sferę, manija przyjmowania bon zagranicznych panuje już obecnie i w całej warstwie średniej, społeczeństwa naszego.

Średni obywatele ziemscy, średni przemysłowcy, ba... i średni już nawet urzędnicy, oddają w opiekę swe dzieci zagranicznym bonom lub guwernantkom, wyrządzając tym sposobem nietylko dzieciom tym, ale i ogólniejszym interesom społecznym, ciężką zaprawdę i dotkliwą krzywdę.

O bok choroby ogólnej, „zagranicomaniją“ zwanej, wpływa tu nie mało i to fałszywe przekonanie, że w dzieciństwie nauka obcych języków najłatwiej ma przychodzić i że tanim stosunkowo kosztem nabyć jej można.

Co do „łatwości“ owej nie chcemy się bynajmniej spierać i gotowiśmy jej nawet przyznać *względną* racyją; lecz pytamy znów, czy wiele znajdzie się dzieci któreby w czasie dalszego kształcenia się nie zapomniały tego czego od zagranicznej bony nauczyć się zdołały? i czy tym sposobem owa „łatwa“ nauka, nie poszła łatwiej jeszcze na marne!.

Czy wreszcie, jak to już napomknęliśmy wyżej, pamięć dziecka obciążana w epoce najżywszego rozwoju wszystkich jego organów, wyrabiała się nie ze szkodą daru samoistnego myślenia i intelligencyi prawdziwej?

Zdaje się że wszystkie te pytania godne są ze strony rozsądniejszych przynajmniej matek naszych, bliższej nieco uwagi i że owa manija sprowadzania bon zagranicznych, raz przecież ustaćby winna.

„Jakto!? więc wcale bon nie trzeba?“.

Przeciwnie, bony są potrzebne, ale bony Polki

Dziś wprawdzie takich to jest tutejszych a odpowiednio uzdolnionych kandydatek na bony nie wiele u nas się trafia; ale bo też tak zwykle bywa, że to co tutejsze na ostatnim planie się stawia.

W obec szerokich prerogatyw jakiemi lada pokojówka zagraniczna u nas się cieszy, bony natomiast Polki, chociażby z lepszem nawet wychowaniem i uzdolnieniem, są traktowane jak „zwyczajne zera,“ jak wszystkie inne najzwyczajniejsze pokojowe czy kuchenne „służące.“

Taki stan rzeczy żadnej chyba porządniejszej i więcej jakoś ogólnie ukształconej kobiety do obowiązków bony zachęcić nie potrafi a takich właśnie kobiet to jest takich bon Polek, wiele u nas znalećby się mogło.

Wiele np. bezdzietnych wdów po urzędnikach, wiele nawet ex-obywatelek ziemskich nie odpychałyby z pewnością stanowiska opiekunek i dozorczyń dzieci, gdyby wiedziały tylko że na stanowisku tem nie będą poniewierane, że przeciwnie traktowane będą *po ludzku*.

Potrzeba więc tylko aby matki nasze dla dobra własnych dzieci i dobra społeczeństwa własnego, z bezcelowym zwyczajem protegowania i karmienia cudzoziemskich nabytków, rozstać się chciały i aby tym sposobem wyrobiła się klassa odpowiednio uzdolnionych bon Polek a wówczas nie tylko cała sprawa pierwotnego wychowania, ale cały może obszar dróg i celów społecznych wiele mógłby skorzystać.

Jan Jeleński.

Wczoraj i Dziś

(z notatek uniwersyteckich swojego kuzyna)

przepisał

Stanisław Wolski.

(Dokończenie).

Takie to były nasze obiady, gdzie odżywiając ciało żyliśmy w towarzystwie wesoło, kształcili i ćwiczyli umysł i żyli jak żyć potrzeba. Czy w ciągu późniejszego życia mieliśmy kiedy tak poetyczne tak pouczające obiady?

Tego dnia kiedy długi Adaś był u mnie rano, zebraliśmy się prawie wszyscy u pani Piotrowej, bo brakowało tylko Adasia i Józia Nr. 1. Obaj umyślnie nie przyszli aby uniknąć nieprzyjemnego spotkania. O zajściu pomiędzy niemi wiedzieliśmy wszyscy; gdy więc byliśmy w komplecie, zabrałem głos opowiadając o dzisiejszej rannej wizycie.

U mnie był znowu Józio Nr. 1, wyrzekł Gucio i słowo w słowo powtórzył to co Adaś.

— Co robić! Co robić, zawołali wszyscy, waryjaty chłopaki zrobili burdę, a studenci, a przyjaciele rozumu i wiedzy, to się nie godzi.

— Panowie, mówił Julek, ponieważ Adaś i Józio zbyt blisko nas obchodzą nie możemy się rozejść, aby coś nie postanowić. A że w chaosie do niczego dojść nie można, po kolei będziemy wygłaszać swoje zdania. Proszę o spokojność—Karolu rzekł, obracając się do mego szlafkamrata, ty masz pierwszy głos.

— Mnie się zdaje, rzekł Karol, że kiedy poszło im o pannę, która tak dobrze mogła kochać jednego jak drugiego, dziwny jest Józio, że mógł zrobić impertynencyją Adasiowi. Otóż proponuję aby Józiowi jako gorączce mającemu krwi za dużo, upuścić jej koniecznie trochę; niech więc przeprosi w obec nas wszystkich Adasia.

— Nie, nie, to bezskuteczne, zawołano.

— Józiu Nr. 2. Co powiesz na obronę swego imiennika, odezwał się Julek znowu.

— Mnie się zdaje, odpowiedział zapytany, że pojedynek jako zasada przeciwprawna, miejsca mieć nie może, barbarzyństwo to średnich wieków—nic więcej. Wina była ze stron obu; złożymy sąd, bliżej sprawę rozpatrzymy i ukarzemy winowajców.

— Gada jak prawnik, krzyknął przerywając Gucio, barbarzyństwo, średnie wieki, sąd, bliższe rozpoznanie, wszystko to czcze słowa, cóż więc zrobisz jeżeli się znajdziesz w podobnej okoliczności jak Adaś, jeżeli ci ktoś zarzuci nieuczciwość, fałsz i obłudę?..

— Ale to widzisz sprawa między kolegami, wtrącił Staś na to.

— Co tam koledzy, krzyczał Gustaw, obraza jest, obraza obustronna, o nadepnięcie na nogę się nie strzelam i zwady z nikim nie szukam. ale jak tu, Adaś postąpił nie po koleżeńsku, grzech i pierwsza obraza. Józio mu głupstw nagadał, druga obraza, dwie obrazy dadzą trzecią obrazę, bo mniej przez mniej da więcej, postrzelają się i kwita, bo trudno przypuścić aby jeden usprawiedliwiał się ze swych czynów i przepraszał drugiego.

— Zawsześ gorący, mówił Oleś, ale z pojedynku to i śmierć bywa; niech się strzelają puste jarmarczne głowy, którym żyć lub nie żyć wszystko jedno na świecie; niech oni stają naprzeciw nabitych pistoletów ze spokojną miną, co im po życiu kiedy go nie rozumieją a jaka po nich szkoda gdy znikają z między nas; wiedzą o tem, że nie potrzebni, nieodczuwają, że wpół drogi wstrzymani, zawsze na coś przydać się mogli. Bezmyślne pasorzyty, żyjące cudzą pracą, puste lalki gadające ciągle o honorze a nie mające go za trzy grosze. Ci niech się strzelają, im wolno, ale nie nam. My mamy obowiązki, każdy z nas choć w części wie po co żyje na świecie. każdy z nas wie, że życia bezkarnie na wolę wiatrów się nie daje; nie należym do siebie, nasza praca i zdolności dla drugich i my tu akademicy wyjeżdżamy z honorem i pistoletami. Tu jest prosta rada, oba fryce, kapitalna kompensata; cicho sza, nic o tem, podadzą sobie ręce i rzecz skończona.

— Nie, to także nie, zadecydował Julek. Przeciwko pojedynkom jestem i ja stanowczo. Nasze wzajemne obrazy, są pomiędzy nami; świat o nich nie wie, wpłyńmy na tych o których w tej chwili mówimy i pogódźmy ich ze sobą, tak pogódźmy i nic więcej, bo zwady między nami być nie może, bo pracując jako

pionierowie w świątyni światła nie możemy go zaciemniać i brudzić. Czy ma który z panów co przeciwko temu? Nic! nic! zawołaliśmy chórem zentuzyjazmowani przemową Julka; zgodą, zgodą i miłością panowie, przez świat pełen brudu i zgnilizny, myśmy tu najlepsi bo do nas brudne życie, bo wszystko co złe jeszcze nie przylgnęło do nas, więc tylko zgoda; przyprowadzić Adasia i Józia. Rozbiegliśmy się szukać poważnionych, prawie jednocześnie zeszli się obaj. Julek tylko parę słów do nich przemówił, rzucili się sobie w objęcia i... przebacz! przebacz! oto wszystko cośmy usłyszeć mogli.

IX.

W dwa lata później.

Ciekawy nie jeden jak wyglądaliśmy dwa lata później i czy nas ubyło? czy przybyło? czy kochaliśmy się jak dawniej szczerze, serdecznie? Ze smutkiem odpowiem, nie zupełnie. Dla czego? bo postarzeliśmy, spoważnieli, bo poznaliśmy niestety, że nie tak jest dobrze jak nam się na początku wydało, bo jednem słowem było to w dwa lata później. Dwa lata powie nie jeden, cóż to znaczy dla młodego człowieka. Bardzo przepraszam was panowie, początek i koniec studyjów uniwersytetu to różnica tylko lat czterech, wchodzimy doń dziećmi, ludźmi wychodzimy. Jako dzieci i młodzieńcy rwiemy się do życia do czynu, stroimy w ideały najprozaiczniejsze istoty, jednem słowem żyjemy życiem o jakim zapomniawszy starsi już go potem nie rozumieją. Wielkie cele, wielkie zamiary, wielkie pojęcia o wszystkim, z czasem tak niestety maleją, że strach mówić doprawdy o tem. Proza to codziennego żywota taki piekielny wywiera skutek, a im dalej w las tem więcej drzew.

Czy i nasze gronko przy końcu uniwersyteckich studyjów zawinęło też już do bezpiecznej przystani i spokojnie patrzy na rozhukane i wzburzone fale życia? Potrochu! Zostało nam jedno: kochaliśmy się stale między sobą i staraliśmy się wszyscy być porządnemi ludźmi. Niektórzy zostali jak byli, z młodzieńczą ochotą a z doświadczeniem i nauką dojrzałego człowieka.

Wszyscy wiedzieli, że żyć to nie żartować, że dobrze żyć bardzo trudno. Ze wszystkich najmniej zmienił się Julijan. Ludzkość, to moja kochanka, mawiał, innej nie znam, dla niej żyję, braćmi mojemi wszyscy, a szczególniej wy, których tak kocham, którzyście warci tego. Jakże on się też wywiązywał tej ludzkości, tej swojej kochance?.. Skromny aż do przesady, skierował wszystkie siły ku temu, aby duchowi dać jak największy hart woli i potęgi, aby nie zginąć śród drobnych przeciwności, naznaczyć wieczną pamięć po sobie. Pracował też dużo, czytał dużo; pomimo zajmowania się naukami przyrodzonemi, okazywał wiele gustu do literatury pięknej. Jego drobne utwory pomieszczane w pismach peryjodycznych odznaczały się pięknym językiem. Będąc na drugim kursie napisał konkursową rozprawę i dostał złoty medal. Potem wkrótce wydrukował jedną i drugą rozprawkę z dziedziny psychologii, tak że wychodząc z uniwersytetu był już znany literackiemu światu. Zawsze ten sam, zawsze nie wiele mówiący, a wiele czyniący, był wzorem dla nas wszystkich.

Oleś prawie nic się nie zmienił, albo raczej zmienił się bardzo, bo swoje pojęcia i przekonania podniósł do potęgi; nie nawidził ludzi ciskał przekleństwa na system społeczeństwa, ciągle jeszcze marzył o jakiejś wyspie utopii, ale już słabiej, do życia praktycznego nie zdradzał żadnej ochoty.... Był teoretykiem w całem tego słowa znaczeniu. Ot tak zasiąść przy lampie, to i całą noc przesiedziałby nad rozwiązaniem jakiego trudnego matematycznego zadania, z którego nic nikomu nie przyjdzie. Ale dodać dwadzieścia kolumn lub spisać choć raz swoje miesięczne wydatki do tego nigdy go napędzić nie mogłeś. Taka już była natura.

Staś był zawsze mały, zawsze mizerny, potulny, uczący się, sarkastyczny tylko więcej niż dawniej. Co chował na dnie serca, tego odgadnąć trudno. Przeczuwał jednak nie jeden, że Staś daleko zajedzie, że ma dużo praktycznego zmysłu, że dużo umie, że coraz mniej porusza kwestyje ogólne, a przechodzi do kipiącego życia. Kończył prawo, niewiedzieliśmy co jeszcze przedsięweźmie. Czuliśmy jednak że mu źle nie będzie na świecie, bo rachować się będzie ze wszystkiemi. Ku końcowi uniwersyteckich studyjów mówiliśmy tylko *majster* albo *praktyczny*.

Alfons był teraz jeszcze poważniejszy; zawsze cnotliwy, stały, jak Kato niewzruszony a surowy. Co było ładnego i przyjemnego z uniwersyteckiego życia tego nie wziął, ale co ciężkie to dźwigał, co twarde to gryzł. Kaleczył ręce, suszył głowę, a z raz obranej drogi nigdy nie zboczył. W uniwersytecie utwierdził się w tem przekonaniu, że życie to szereg trudnych obowiązków, którym nigdy zadość uczynić nie możemy.

Miecio był słaby jak wchodził, potykał się kilka razy, ale zawsze dość zwycięzko wychodził z tych młodzieńczych potyczek. Ostygł trochę, nie przykrzyli mu się ludzie, uznawał już więcej dobrych stron, ubierał się porządniej, nosił kapelusz wysoki i rękawiczki, których za żadne pieniądze nie byłby włożył na pierwszym kursie, mniej się kłócił, próżnował trochę, ale że był bardzo zdolny więc nie pracując dużo, umiał wiele i miał dużo pretensyj do znajomości przedmiotu. Był prawnikiem, lepiej powiedzieć ekonomistą. Traktował z tej strony społeczeństwo, badał je i nauki prawne były mu tylko pomocą w projektach nad podniesieniem ogólnego dobrobytu.

Józio Nr 1. Po wykochaniu się i przeprosinach wziął się szczerze do pracy. Inni szli dawną koleją.

Znów czerwiec, znów słońce świeci pogodnie, znów jesteśmy razem; po skończeniu trudnych egzaminów, każdy swobodniej oddycha. Jesteśmy w dziedzińcu uniwersyteckim. Gdzież Adaś, powiadają, kończy egzamin z prawa policyjnego, ale oto jest. No cóż? Dobrze. Chwalić Boga. Więceśmy w porządku. A teraz cóż, pyta jeden drugiego? Zastanowiliśmy się wszyscy. Wyjeżdża który za granicę? pyta Oleś. Nie, jak na teraz nikt, wołamy. Panowie pamiętacie, mówi Alfons, dziś lat cztery akurat, jak raz lat cztery, mój Boże, cztery lata; i westchnął nie jeden i zrobiło się na chwilę cicho między bracią. Każdy pobiegł ze swemi myślami za tym upłynionym bezpowrotnie czasem, każdy zrobił w duszy rachunek sumienia, zastanowił się czy nie zmarnował czasu i pomyślał co pocznie dalej. Żaden głos wewnętrzny nie rozwiązał pytania. Co teraz, co teraz? powtórzyliśmy bezmyślnie po kilka razy. Teraz życie i chleb powszedni, mówił Alfons. Nie, teraz używać i bawić się, krzyknęli razem Miecio i Karol. Tak, tak, po co łamać głowę nad tem, co tam potem będzie, i zanuciliśmy chórem ulubioną zwrotkę:

Gdy jednemu choć zostanie
Niedopita kropla w dzbanie.

Gdy przyszło do zakończenia „dyjabłów pięć“ Karol tak dosadnie oddał myśl Gabryjeli, że aż przechodzący przystanęli. Cóż teraz? znów pytaliśmy się po chwili jak dzikie araby w pustyni, gdy piasek im drogę zasypie. Cóż teraz? Jedźmy na wieś, podreperujmy się, potem pogadamy. A dziś panowie, krzyczał Karol, biba jak temu lat cztery, tylko spodziewam się lepsza trochę jak tamta ze słowikami i mową szanownego Julijana o obowiązkach młodzieży. Bóg ci zapłać dziś bez bzów, bez słowików i bez mowy, tylko raki, mięso i jaka butelka, każdy wiek ma swe prawa, dziś już więcej na to zważamy. Pozwolicie, że sam zanominuję się podstolim czy podstarościm, zawsze jakim „pod“ i zaproszę was dziś na składkową kolacyjkę do Z. Nie, nie, tak jak cztery lata temu, w tem samem miejscu u C., mówił Gucio, przypomnim sobie lepsze czasy. Lepsze nie lepsze, mówił Adaś, dziękuję za nie; takim kontent, że raz mam prawo cisnąć w kąt książkę i zajrzyć do żywych obrazków.

Więc dziś wieczór, dobrze, dobrze, wołano.

Kiedyśmy wieczorem tego dnia znaleźli się wszyscy w cichem ogródku u C., zadrgały serca na nutę jakiejś dziwnej zamierzchłej piosnki, niesprawdzonych snów złotych, niezrealizowanych chęci. Nie przyznawaliśmy się w duchu, ale każdy żałował przeszłości, bo każdy myślał, że drugi raz lepiejby poszedł po tych krętych ścieżkach żywota. Staliśmy smutni i zwarzeni jacyś. No panowie, nie tu miejsce na rozmyślania. Przed nami świat, za nami wspomnienie, mówił Oleś. Spodziewam się, że kolacyja zadysponowana przez Karola, zadowolni podniebienia popsute obiadkami kochanej pani Piotrowej. Zaśmiano się chórem. Ciekawym też bardzo za lat tak 15 lub 20 kto z nas będzie najwyższym, mówił Gucio, a my mimowolnie zwróciliśmy oczy na Julka. On, on, zawołaliśmy chórem. Tak, w tem znaczeniu jak wy myślicie, ale ja tu coś innego miałem na myśli wyrzekł Gustaw, jam ciekamy kto też to nie duchem, ale ziemską potęgą stanie najwyżej, kto będzie wypożyczać pieniądze i jeździć powozem. No to mały Staś, odpowiedzieliśmy, i ty i ty, wołaliśmy jeden do drugiego; każdy znał drugich nie znał siebie, to trudniej daleko. A który z nas najdłużej zagości na tym padole płaczu, mówiąc językiem bogów, mówił Karol. A który najkrócej, tu Miecio wskazał na siebie.

Przeskoczyliśmy do czego innego, snuliśmy projekta częstego komunikowania jeżeli będziemy razem, częstych listów jeżeli nas losy rozdzielą, zrobiliśmy projektów bez liku, wierzyliśmy jeszcze trochę w świat i ludzi, więc i smutek trwał krótko i kiedy kurczęta z tryumfu-

jącym Karolem na stół wjeżdżały, było wesoło, bardzo wesoło.

Kurczęta, raki, śmietana; szparagów nam brak,, gdzie kucharz wołano, a macie jednego, jeden ale duży, rzekł Karol pokazując na Adasia, wesoły śmiech był odpowiedzią na tę zaczepkę. Ale i wołowiny nie ma, odciął się Adaś pokazując na Karola. No i wołowiny i szparagów i dużo rzeczy nam brak, wołaliśmy. Dużo, ale akademicy, nic dziwnego. Zdrowie akademików i ich uczciwych i zacnych zamiarów, rzecze Gucio. Nie, nie akademików. Zdrowie nas wszystkich, którzy tu jesteśmy, naszego koleżeństwa, naszych nierozerwanych węzłów, naszego poczciwego zjednoczenia. Wiwat, wiwat. I naszej uczciwej, zacnej przyszłości, spodziewam się, że nie zawiedziem się na sobie. Tak tak, nie darmośmy ludzie. Górą wszystko co zacne i szlachetne, precz z ciemnotą i brudem. Panowie teraz ostatni braterski uścisk i ostatnie bądźcie zdrowi i szczęśliwi na drogi życia. Żegnajcie. Żegnajcie.

X.

Dziś.

Gdzieżeście wy? gdzieżeście wszyscy moi, których tak serdecznie ukochałem, gdzież dłoń wasza którą tyle razy ściskałem, gdzie serca wasze wylane dla drugich, gdzieżeście? W snach moich widzę was tylko w około siebie, wtedym szczęśliwy, wtedy odycham lżej gdy mię otaczacie, gdy słyszę głos wasz, gdy usta wasze szepcą mi słowa zachęty i miłości a oczy wasze powtarzają mi postokroć: bądź szczęśliwy. Nie mam was, samotny wędrowiec błąkam się po manowcach życia, myślę o was, to mnie umacnia, to otuchy dodaje, że nie zbaczam z drogi obowiązku, że nie padam w pół drogi.

Gdzieżeście wy? Świat rozebrał was między siebie, jak rozbierze wiatr listki na jednej uwitej gałązce i poniesie w różne strony. Nie ma was i tęskno mi bez was.

Poszliśmy w różne strony, minęły ciche dni szczęścia, wspólnej nauki, trudów wspólnych; każdy z nas poszedł za chlebem, połowa dramatu zwanego życiem skończyła się z ostatnim ręki uściskiem z ostatniem serdecznem pożegnaniem.

Tylko kilku z pomiędzy nas pozostało w Warszawie i z radością wspomina lepsze czasy, czasy młodości i zapomnienia. Żyją niby tak samo, ale...

Nie są to już te same chłopcy, które piły za pomyślność walki z przeciwnością; na każdym życie, wycisnęło piętno swoje.

Mnie los rzucił dalej jak innych, tak że na lat kilka brać poczciwa zniknęła mi z oczu. Rzadki tylko list, jak posłannik złego przynosił mi wiadomość, że każdemu ciężko, że wywalczać sobie stanowisko i chleb, to nie tak łatwo jak nam się z początku zdawało.

Niedawno dopiero, bogi poniosły mię do Warszawy. Pragnąłem zobaczyć choć jednego, pragnąłem choć z jednych ust dowiedzieć się coś o wszystkich. Szczęśliwy wypadek posłużył mi bardzo. Na drugi dzień po przyjeździe spotkałem się oko w oko z kochanym Guciem. Dawno nie pamiętam tak szczęśliwej chwili. Z początku słowa przemówić nie mogłem. Gucio podstarzał troszkę, spoważniał i był od kilku lat doktorem, mieszkał w Warszawie.



Zamek Wyszehrad.

— No, już myślałem cię nigdy nie oglądać, zawołałem, a reszta, a nasi wszyscy? Są niektórzy, inni po świecie.. a inni... no pewno wiesz; uścisnąłem mu rękę w milczeniu, zobaczyłem łzę w jego oku. Gdzie mieszkasz, wiesz nie tracąc czasu, zabieram cię zaraz do hotelu gdzie przegadamy cały wieczór. Dobrze, dobrze, z tobą choćby i dziesięć. Ścisnęliśmy się powtórnie.

Usadowiwszy się wygodnie na kanapach naprzeciw siebie i zapaliwszy cygara patrzyliśmy na siebie długo w milczeniu,

— Zestarzałeś się, powiedział i ty. Tak

obaj niestety, parę latek a co najważniejsza, troski, troski braciszku.

— Czyś żonaty, spytał Gustaw. Nie, a ty, I ja nie. To dobrze przynajmniej, wiwat, kawalerski stan. Ale ten stan choć kawalerski ciężki był jakiś. No mów mi mów, zawołałem, o tych wszystkich co mię tak obchodzą. Oleś, Staś, Julek o wszystkich. Dużo by to było, bardzo dużo, ale są rzeczy drobne, któremi cię nudzić nie będę; posłuchaj ważniejszych, zacznę od siebie. Jestem doktorem. Skończywszy wydział, pojechałem na lat dwa zagranicę, poznałem że prawie nic jeszcze nie umiem, było i to dobre bo jąłem się do pracy, były ciężkie dni, dziś mieszkam w Warszawie; bawię się trochę literaturą i patrzę na życie i całe szczęście, cóż chcesz? przyzwyczajenie, ludźmi jesteśmy.

— A Józio jeden i drugi spytałem? Prawnika możesz zobaczyć, zajmuje niewielką posadę sądową. Filolog belfruje na prowincyi wychowuje dzieci swoje i nie swoje. Jakto więc ożenił się? Ba i to on tylko jeden z nas, reszta do wzięcia dodał i cierpko się uśmiechnął. Józio prawnik zawsze cichy pracowity, w godzinach wolnych od bióra cały w książkach, należy do wydawnictw prawnych, pracuje prawie nad siły, ale zdrów, spokojny, bo robi co do niego należy.

Alfons aż w Hollandyi, tam szuka szczęścia; mówił mi przed wyjazdem że chce koniecznie zrobić majątek. Staś już jest na tej drodze; jak na dziwną loteryją w której szczęśliwi większe stawki wygrywają. Karol w gubernijalnem mieście rozwija teoryje nowszej medycyny; taki jak dawniej, dużo je, utył nadmiernie, zawsze w dobrym humorze, goły jak turecki święty, długów ma po uszy, trochę ciszej mówi i rzadziej przeklina.

Adasiowi sprzykrzyło się prawnictwo i na drodze bankierskiej szuka powodzenia i karyery. Gdym się z nim widział, obliczał na pamięć dyskonto od jakichś weksli i rozprawiał dużo o nowo mającej się otworzyć kolei. Jakto a serce, zapytałem? No tak, odpowiedział, nie mogę powiedzieć, ale widzisz cały dzień rachuje i może wierzę w końcu, że to cała filozofija życia z trochą grosza rzucił się do jakiejś spółki którą pod jego kierownictwem rozwinąć się może na pewno.

Oleś gdzieś w Rosyi, poczciwy Julek powróciwszy z zagranicy, silnie się przykłada do popchnięcia całego społeczeństwa do światła i prawdy. Dzielny to człowiek, niezmordowany!

Spytacie a Mieczysław, a nasz radykalista? Niestety, jego już dawno zimna pokrywa mogiła, brzoza nad grobem szepce pacierz czy skargę o przerwane życie w samym zwiąku. A poczciwi koledzy i znajomi co wiosna noszą świeże kwiatki na grób zacnego człowieka.

Nie miałem nawet tej pociechy aby grudkę ziemi rzucić na to przed czasem zagasłe życie. Uroniliśmy z Guciem wspólną przyjacielską łzę wspomnienia kochanemu przyjacielowi.

W tydzień potem zabrałem ze sobą na całe lato kochanego doktora. Jeżeli dożyję, to za lat kilkanaście opiszę wam *jutro*..

Sosnowice, 16 maja 1873 r.

Korespondencyje Opiekuna Domowego.

Paryż, dnia 4 października 1875 r.

Nowe prawo względem wolności wyższego nauczania, uchwalone przez izbę wersalską, wchodzi w wykonanie. Obok rządowych naukowych zakładów pierwszego stopnia, powstają we Francyi uniwersytety prywatne. Największą w tej sprawie czynność rozwija duchowieństwo, a raczej stronnictwo klerykalne. Niczego się nie szczędzi aby publiczną oświatą zawładnąć, bo przeraża postęp umiejętności, która na każdym kroku narusza powagę kościoła.

Francuzcy biskupi postanowili, iż powstałe ich staraniem uniwersytety nie będą się nazywały *katolickiemi*, lecz *wolnemi*, „universitis libres.“ *Il y a des fagots et des fagots*, powiada przysłowie francuzkie: podobnież i wolność bywa przedniejszego lub pośledniejszego gatunku.

Francuzcy klerykalni przywłaszczyli sobie monopol dobrego i prawdy. Twierdzą oni



Grobowce na Wawelu w Krakowie.

że od rewolucyi 1789, Francyja wszedłszy na drogę wolności złego i fałszu, chyli się do zupełnego upadku. Społeczeństwo francuzkie tonie w zbytkach, rozpuście i niedowiarstwie, oddając się farmazonom i wolnemu myśleniu. „Ojcowie rodzin, wołają biskupi i księża, wyście ojcami wedle ciała, a my ojcami wedle duszy; podajmyż sobie ręce, wybawmy dzieci nasze, wybawmy Francyją od przewrotnej umiejętności i od wszego złego.“

Od wieków klerykalizm francuzki śpiewa tę samę piosnkę. Gdyby nawet mu się udało wybawić Francyją od wszego złego, to nowe upatrzy wady, nowe znajdzie grzechy w społeczeństwie.

W tym miesiącu zostanie otwarty w mieście Angers „wolny wydział prawniczy“ za zgodą arcybiskupów i biskupów, a pod nadzorem księdza biskupa Freppela. Studenci wydziału dzielą się na internów i eksternów. Będzie to rodzaj konwiktu. Studenci eksterni obowiązani są w niedziele i święta uczęszczać do kościoła na msze i bywać na kazaniu. Rektorem wydziału jest ksiądz kanonik Sauve, radca św. kongregacyi Indeksu, Rektor będzie czuwał, aby ani jedna książka przez Stolicę apostolską potępiona, nie dostała się w ręce studentów. Rektor także rozciągnie opiekę nad rodzinami, które poszlą swych synów na jego „wolny wydział prawniczy.“ On będzie baczył, aby w biblijoteczkach tych rodzin nie znajdowały się świecko-naukowe książki, przeciwne nauce kościoła. „Wolne uniwersytety.“ utrzymywane przez duchowieństwo, nietylko będą kształciły młodzież, ale za pośrednictwem tej że młodzieży wejdą w stosunki z rodzinami, by pokierować ich życie domowe zgodnie z nauką i obyczajami kościoła. Duchowieństwo francuzkie wie dobrze, iż takiem bywa społeczeństwo, jaką jest rodzina. Katolickie uniwersytety we Francyi nie będą rozsadnikami oświaty, jeno narzędziami do przerobienia rodzin na służebnice klerykalizmu. „Wolne uniwersytety“ nie wolność lecz niewolę będą krzewiły po Francyi.

Do „wolnego uniwersytetu“ będą mieli wolny wstęp tylko studenci wyznania katolickiego, ściśle wypełniający swe obowiązki religijne. Mahometanie, żydzi i protestanci, nie będą mogli korzystać ze światła „wolnych uniwersytetów.“

„Wolne uniwersytety“ utrzymywane przez dzierżycieli prawdy i dobrego, mają na celu pojednanie Francyi z Panem Bogiem. O tem pojednaniu czytamy długie artykuły w dziennikach klerykalnych i w tygodnikach religijnych (*Semaines religieuses*). Pojednać Francyją z Bogiem, znaczy powrócić Bogu prawa do Francyi, zaś Francyją przyprowadzić do spełnienia jej powinności.

Francyja spełni swą powinność, gdy na zawsze z własnej konstytucyi wykreśli zasady 1789 roku. Zasady rewolucyjne, przeciwne chrześcijaństwu, burzą wszelką hijerarchiję, zarazem porządek społeczny. Na miejsce zasad rewolucyjnych należy wprowadzić zasady chrześcijańskie, które zachowują hijerarchiję społeczną, to jedyne źródło wolności, równości i braterstwa prawdziwego. Wypada przeto przywrócić trzy stany państwa: szlachtę, mieszczaństwo i gmin, które stanowiły podstawę dawnej monarchii francuzkiej, aby mieć reprezentacyją wszystkich sił żywotnych narodu. W ten sposób upadnie powszechne głosowanie, które po prostu jest kłamstwem uorganizowanem na korzyść intrygantów. Francyja spełni swą powinność, gdy z kodeksu cywilnego wyruguje ateizm, który na równi stawia wszystkie wyznania religijne; gdy zniesie śluby cywilne i artykułem prawa nakaże poszanowanie świąt i niedzieli. Należy zostawić kościołowi zupełną wolność i przyznać mu prawo osoby cywilnej. Należy rozbić dzisiejszą administracyją, przywracając dawny podział Francyi na prowincyje, z ich prawami i przywilejami. Przywrócić w całej pełni władzę ojcowską i tylko ojcom rodzin dozwolić zasiadać w radach municypalnych. Wygnać z kraju wszelkie towarzystwa tajne i znieść wolność prasy. Słowem zniszczyć dzieło rewolucyi, która zdemoralizowała Francyją i przywiodła ją do zguby.

Taki sobie cel zakłada duchowieństwo francuzkie. Środkiem prowadzącym do tego celu mają być „wolne uniwersytety.“ Z niesłychaną wytrwałością klerykalizm francuzki zmierza do swego celu. On siebie i swoje zasoby poświęca na przekształcenie społeczeństwa. Niczego nie szczędzi, by zapewnić teokracyi panowanie nad Francyją. Świeckie polityczne stronnictwa we Francyi ani w połowie nie robią tyle dla własnej sprawy, co robi duchowieństwo dla zabezpieczenia swoich interesów. U stronnictw politycznych we Francyi zawsze więcej słów, więcej deklamacyi, aniżeli czynów. Dzienniki republikańskie, prassa postępowa, liberalna powstaje na klerykalizm, uderza nań niemiłosiernie, lecz podobne ciosy tyle warte co uderzania pałaszem po wodzie. Jeszcze ani jeden dziennik postępowy, szczerze biorący oświatę publiczną do serca, nie odezwał się do swoich czytelników o składkę na uniwersytety anti-klerykalne, kiedy duchowieństwo oddawna zgromadza fundusze na „wolne uniwersytety.“ Jakaś gnuśność panuje nad społeczeństwem francuzkiem. Francuzi poruczają rządowi wszystkie sprawy publiczne, brak im inicyjatywy. I dzisiaj stronnictwo liberalne krzyczy na rząd, że nie stawia tamy klerykałom, ale od czegóż wolność i swoboda? I klerykalnym i liberalnym francuzom jednakie służą prawa, w tem różnica, że klerykalni umieją korzystać ze swoich praw, są gorliwsi o własne dobro. Świeckie społeczeństwo francuzkie rządzi się maksymą: *Chacun pour soi-meme, et Dieu pour tout le monde*, kiedy prawidłem duchowieństwa francuzkiego są słowa: *Chacun pour tout le monde et nous tous pour chacun de nous*. Karnością i solidarnością jest związane duchowieństwo francuzkie, gdy tymczasem zbywa na tych dwóch ważnych zaletach stronnictwom świecko-politycznym.

Mimo karność i solidarność, duchowieństwo francuzkie, nie może służyć za wzór chrześcijaństwu. Przytoczyłem wyżej jego zasady i program. Rozczytując się w klerykalnej prasie francuzkiej, zmuszony jesteś zawołać z Mickiewiczem. „Do czegóż dzisiaj przyszedł kościół? Co może ta potęga, rodzicielka niegdyś wszystkich mocarstw ziemi. W czem ona wpływa na postępowanie ludzi, na ich życie polityczne, na wielkie poruszenia narodowe, na kombinacyje gabinetów? Nad takim stanem kościoła powinnoby pękać z bólu serce jego służebników... Kościół prawi ciągle że zaraza niedowiarstwa szerzy się po narodach; kościół mówi bez ustanku, że choroba zabójcza ogarnia dusze i zadaje im śmierć, którą on ma za wieczną. Pytamże się wszystkich ludzi dobrej wiary, czy widzą na twarzach, w ruchach, w skinieniach reprezentantów kościoła tę boleść, jaką widzieli w ojcach rodzin?“ [1])

W odpowiedzi na szumne deklamacyje duchowieństwa francuzkiego o zbytkach i niemoralności Francyi, nie dawno temu, Henryk Baudrillard czytał długą rozprawę w paryzkiej akademii umiejętności moralno-politycznych. Baudrillard jest uczonym ekonomistą i moralistą zarazem. Nadto słynie jako niepospolity pisarz. Dostał się do akademii za dzieło, w którem wykazał ścisły związek moralności z ekonomiją polityczną. Nie ma zagadnienia z moralności, któreby się nie dało sprowadzić do zagadnienia ekonomicznego i nawzajem.

Kwestyja zbytku, przeciwko któremu wiecznie powstawał i powstaje kościół, najjaśniej wykazuje stosunek moralności do ekonomii politycznej. Umiejętność już zbadała warunki, w których zbytek jest objawem prawidłowym, jako bodziec do pracy, do produkcyi, a nawet i do oszczędności. Moralność znowu, *moralność umiejętna*, wcale nie wzbrania zbytku, który jest wyrazem dobrobytu i normalnym rozwojem ludkości.

W imię moralności umiejętnej, Baudrillard powstaje przeciwko klątwom, które miotają na zbytek apostołowie moralności *srogiej*. W imię też moralności umiejętnej Baudrillard powstaje przeciwko mistrzom moralności *swobodnej*.

Moralność sroga, potępiając wszelkie rozkosze życia doczesnego, zaszczepiając pogardę dóbr ziemskich, za jednym zamachem, potępia pracę, tamuje cywilizacyją, burzy społeczeństwo.

Szkoła moralności srogiej miała racyją bytu w czasach starożytnych, kiedy źródłem zbytku nie była praca produkcyjna, lecz zdobycz i niewolnictwo. Starożytni filozofowie, zajęci udoskonaleniem człowieka, stawiali naprzeciw wyuzdanemu zepsuciu, surowe prawidła cnoty idealnej. Nie poprzestając na gromieniu występków, pogańscy mędrcy jęli wyklinać zbytek, a z czasem swą gorliwość moralizowania do tego stopnia posunęli, iż poczytali za zbytek, co przechodzi niezbędne potrzeby życia materyjalnego. Doktrynę ograniczenia potrzeb życia codziennego wyznawali cynicy, którzy dobrowolnie skazywali siebie na nędzę i niechlujstwo. Z surowej cyników moralności nie jedno prawidło wzięli chrześcijanie pierwszych wieków, którzy gardzili dobrami ziemskiemi. Wszak dobrowolne ubóstwo do dziś dnia liczy się do rzędu cnót. W wiekach średnich zakonnicy gorszyli się dobrobytem rycerstwa i mieszczan. Ów mnich, pisząc kronikę, boleje nad zepsuciem swego wieku, bo ludzie używają krzeseł i stołów de-

[1]) A. Mickiewicz, Literatura Słowiańska, rok czwarty, lekcyja czwarta.

bowych; inny skarży się, iż zamiast jeść palcami, wybrednisie jedzą za pomocą widelców, trzeci znów pioronuje przeciwko materacom które zastąpiły siennik. Jan Musso z Placencyi, drżącą ręką opisując zepsucie swego wieku, woła z oburzeniem: „Nareszcie do tego przyszło, że kobiety robią ogromne zapasy konfitur!“

Konfitury w dawnych czasach były zbytkiem, świadczyły one o zepsuciu i niemoralności rodzin, jak dzisiaj w oczach duchowieństwa francuzkiego jest człowiekiem niemoralnym, demagogiem, nieprzyjacielem Boga i ludzkości, kto wszelkie wyznania religijne stawia na jednej stopie; kto znosi hijerarchiję, nie czyni różnicy między stanami, uważa chłopów, szlachtę, mieszczan i duchowieństwo za równych sobie obywateli, za dzieci jednego Boga, jednej matki ojczyzny.

Moralność *swobodna* jeszcze gorszą jest od moralności srogiej. Tamta ogranicza potrzeby życia, a ta każe wydatkować bez miary. Kto wydatkuje, ten ożywia handel i przemysł. Taką swobodną, wyuzdaną moralność wyznawał rząd Napoleona trzeciego. Ówcześni publicyści nie wahali się dowodzić, że obrócenie Paryża w perzynę przyniosłoby wielkie dobrodziejstwo dla Francyi. Należałoby odbudować stolicę, na co trzebaby poświęcić milijardy, z którychby się zbogacił nie jeden robotnik.

Jak cezaryzm, tak i moralność jego była wyuzdana, oparta na burzeniu i na ujemnym zbytku. Moralność umiejętna zna tylko zbytek dodatni, który prowadzi do polepszenia bytu materyjalnego jednostek, rodzin i społeczeństw, który zarówno zabezpiecza teraźniejszość i przyszłość tych trzech istot ludzkich.

Tyle tylko na dzisiaj, za to w przyszłych listach moich starać się będę o największą możliwie rozmaitość.

ŚLADY ŻYCIA.

XLI.

Tyle życia ile w czynie.

Próbka mała w jaki to sposób rozjaśniają (!) się u nas kwestyje ogólnego nieraz znaczenia.

Przed niedawnym czasem „Wiek“ pomieścił artykuł *o służbie zdrowia na kolejach naszych żelaznych*, wykazując, że służba ta jest najniedołężniej uorganizowaną i żądając odpowiedniej reformy.

W odpowiedzi na artykuł ów „Wieku“ pan A. S. pomieszcza w jednem z pism dość niezręczną filipikę, w której usiłuje niby dowieść, że piszący w „Wieku“ nie jest obeznany z przedmiotem, nazywając przytem artykuł „Wieku“ „pobieżną gawędą“ i t. p.

W jakiż jednakże sposób pan A. S. swego zdania dowodzi?

Oto pan A. S. (jako obeznany z przedmiotem!!) wyznając w całej otwartości ducha, że nie wie co się dzieje na innych linijach, i że wie tylko jak jest na drogach: Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej; utrzymuje przytem, że na linijach tych ostatnich, organizacyja służby lekarskiej albo raczej sama obsługa lekarska chorych jest... dostateczną.

A jaką mianowicie?

O! wyborną! Droga żelazna daje *przez grzeczność* pp. lekarzom zamieszkałym niedaleko kolei, bilety „wolnej jazdy,“ a panowie lekarze *przez grzeczność* znów, leczą chorych urzędników i officyjalistów kolei.

Kłaniam uniżenie za taką służbę zdrowia i za taką obsługę chorych. A jeżeli pan A. S. ganiąc artykuł „Wieku“ utrzymuje, że obsługa ta jest dostateczną, to sądzić jedynie trzeba, że pan A. S. ma sam sobie także przez grzeczność udzielony bilet wolnej jazdy i że niedołężną filipiką, chciałby... puścić wodę na swoje koło.“

Nie panie A. S.! tam gdzie idzie o kwestyję zdrowia tysięcy jednostek, czegoś więcej, jak własnego... „widzimisię,“ potrzeba.

* * *

Wyszła świeżo we Lwowie bardzo dobra broszurka p. Eustachego Petion „O budowie tanich pomieszkań.“ Rzecz to napisana przez specyjalistę, a przytem w sposób bardzo przystępny i racyjonalny. Autor, wykazując (na tle wprawdzie tylko galicyjskich stosunków) przyczyny dzisiejszej drożyzny mieszkań, wskazuje zarazem środki zaradcze, polegające głównie na zmianie dotychczasowego systemu budowy domów. Dziś kwestyja mieszkań, nietylko w miastach galicyjskich ale i u nas jest jedną z najżywotniejszych, życzylibyśmy więc bardzo, aby książeczka p. Petiona jak najwięcej czytelników znalazła.

* * *

Do nowości również wydawniczych należy książka p. Jana Jeleńskiego p. t. „*Sprawozdania z obecnego stanu kraju*,“ na czele których to sprawozdań stoi „*Kalisz i jego okolica*.“ Praca ta była drukowaną w „Niwie,“ dzięki której, mamy dostać następnie, sprawozdania i z innych okolic kraju. Tymczasem p. Jeleński ukończywszy z Kaliszem, wziął się jak już wspominaliśmy do urządzenia *czytelni publicznej* w Warszawie i dziś rzecz ta jest już na ukończeniu.

Załączający się (dla czytelników miejscowych) prospekt, objaśnia dokładnie nie tylko o warunkach ale i o zadaniu czytelni.

Pan Jeleński pracuje w naszem piśmie, nie wypada nam więc, nad jego przedsięwzięciem rozwodzić się pochwalnie. Nie możemy jednak przez zamiłowanie słuszności nie powiedzieć wprost, że rzecz sama powinnaby mówić za sobą, a właściwie, że najlepszą rekomendacyją czytelni, stanowić może przygotowany już do druku katalog.

Katalog ten właśnie mieliśmy sposobność przeglądać i nietylko ilością ale wyborem książek przyjemnie zostaliśmy zdziwieni. Nie ma prawie ani jednego dzieła któreby nie było warte czytania; wszystkie wyborowe w istotnem tego słowa znaczeniu.

Obok wielu popularno-naukowych wydawnictw i dział belletrystyki, same również wyborowe obejmuje rzeczy. Nie ma tu wprawdzie odwiecznych romansideł, ale za to są wszystkie prawie najświeższe i najznakomitsze tak powieściowe jak i inne belletrystyczne utwory, i jest wreszcie z kilkuset dziełek złożona czytelnia dla dzieci, oraz dla dorastającej młodzieży.

Tak uorganizowana czytelnia jest pierwszą u nas w Warszawie i dla tego też o jej powodzenie jesteśmy najzupełniej spokojni. Publiczność nasza oddawna już uczuwa potrzebę tego rodzaju czytelniczego ogniska, więc nie wątpimy że pracę pana Jeleńskiego poprzeć i ocenić potrafi.

* * *

Jak mało nawet rzekomo inteligentni przedstawiciele naszego ogółu rozumieją rzeczywiste potrzeby społeczne, jak mało jest znaną i rozumianą solidarność jednostek, tworzących wielką społeczną rodzinę i jak szeroko na naszej społecznej niwie, rozrasta się brudny chwast ślepego egoizmu, dowodem niech posłuży skandaliczny proces kryminalny, żywo zajmujący obecnie uwagę publiczną.

Rzecz się tak ma. Produkcyja okowity u nas jest obłożoną wysokim bardzo podatkiem. Nie wchodzimy w to obecnie, czy i na ile podatek ten jest usprawiedliwiony w interesach spożywającego ogółu, który ostatecznie go płaci nie narzekając nawet na niego; a chcemy tylko powiedzieć, że zupełnie nie obciąża on producentów, choć tak często na niego narzekają. Przyczyny krytycznego stanu tej ważnej gałęzi naszego wiejskiego gospodarstwa leżą nie w akcyzie, ale we wszelkiego rodzaju nadużyciach, ściągających się przeważnie do płacenia akcyzy. Przemysł gorzelniczy podkopuje nie podatek, ale brak owego społecznego rozumu, brak publicznéj uczciwości i wstrętne samolubstwo niektórych zaślepionych jednostek. Uchylenie bowiem pewnej ilości okowity w zupełności lub nawet w pewnej tylko części od akcyzy, stawia w korzystniejszych warunkach zbytu względem opodatkowanej, i drogą konkurencyi zmusza tę ostatnią do zbytu niżej odsetek średnich lub nawet kosztów produkcyi, zaczem prowadzi ją prostą drogą do zupełnego lub częściowego bankructwa. Ile na tem cierpią uczciwi producenci, kraj i jego najdroższe interesa, ile na tem zyskuje dobrobyt ogólny i moralność publiczna, jakie wśród takiego położenia krzewią się wyobrażenia o obowiązkach publicznych i społecznéj solidarności, czytelnik łatwo osądzi... Sprawa o której mowa należy właśnie do tej kategoryi. Kilka jednostek stawiąc interesa swoich kieszeni wyżej aniżeli dobro ogółu, stararali się wyzyskać na swoją wyłącznie korzyść przepis prawodawczy, mający na celu li tylko interes ogółu producentów, rujnując tych właśnie producentów. Tylko ta bowiem okowita, która jest przeznaczoną na sprzedaż wewnątrz kraju jest obłożoną akcyzą, przeznaczona zas na wywóz zagraniczny jest w zupełności od niej uwolnioną. Wyjątkowe to położenie okowity przeznaczonej na wywóz, dzielnie się może przyczynić do rozwoju krajowego gorzelnictwa, otwierając mu szeroką drogę korzystnego zbytu na zewnątrz i niedawno jeszcze prasa nasza zwracała na ten punkt uwagę ziemian, zachęcając ich do tworzenia odpowiednich spółek wywozowych.

Przepis ten wyzyskiwali w ten sposób, że przewozili przez granicę beczki próżne lub napełnione wodą, a okowitę, która w nich miała być przewieziona, sprzedawali nie opodatkowaną na miejscu... I działo się to na naszych „kresach“ przez tych, co powinni byli tam stać

na straży. Kraj do koła ubożał, gorzelnie się zamykały i nawale germańskiej torowała się droga przez opuszczone stanowiska... I gdyby to robili „maluczcy,“ którzy nie mogli jeszcze korzystać z dobrodziejstw cywilizacyi pielęgnowanej przez „starszych braci,“ trudno byłoby się temu dziwić i łatwiej można by było wybaczyć; ale robili to ludzie, co mają pretensyją być przedstawicielami wielkich idei, czołem społeczeństwa, jego ozdobą...

* * *

W kwestyi ogrodnictwa otrzymaliśmy list następujący: Szanowny Redaktorze! W jednym z Nrów „Wieku“ jak czytelnikom wiadomo zapewne, podjętą została myśl założenia spółki ogrodniczej, w celu podniesienia u nas tej tak korzystnej, a pomimo to tak zaniedbanej gałęzi przemysłu rolnego, jaką jest ogrodnictwo. Już nawet znaleźli się ludzie dobrej woli, którzy starają się o urzeczywistnienie tego zamiaru, o wprowadzenie tej myśli w czyn. Pisząc te wyrazy nie mamy zamiaru rozwodzić się nad korzyściami, jakie ta spółka w przyszłości przynieść może dla kraju, ani też występować z uwagami nad ustawą, która nie jest jeszcze nam wiadomą. W tej chwili mamy co innego na myśli: spółka po ukonstytuowaniu się swojem ma założyć szkołę ogrodniczą, szkołę jak w ogóle u nas wszystkie szkoły specyjalne, dostępną li tylko dla jednej połowy rodzaju ludzkiego, to jest dla mężczyzn; otóż naszem zdaniem, spółka przysłużyłaby się pośrednio krajowii ogrodnictwu, a bezpośrednio drugiej połowie rodzaju ludzkiego t. j. kobietom, gdyby zechciała i dla nich swój przybytek wiedzy ogrodniczej, zrobić dostępnym. Rzecz to u nas dotąd nie praktykowana, nowa, ale nie myślę, żeby była niemożebną.

Pole pracy kobiecej u nas nawet w ostatnich latach zaczęło rozszerzać się po za granice przez tradycyją dla niej zakreślone: przed kilku jeszcze laty, nie widzieliśmy kobiet zajmujących się szewctwem, introligatorstwem, zecerstwem, drzeworytnictwem i t. p. słowem żadnym rzemiosłem, oprócz krawiectwa i ... nauczycielstwa, żadną prawie sztuką oprócz muzyki i ... podobania się [1]) Dawne zmieniły się czasy, zmieniły, warunki, potrzeby i pojęcia... Dziś przyznajemy (w teoryi) kobiecie, że jest człowiekiem, że powinna i musi pracować, pracować nieraz ciężko na kawałek chleba dla siebie a nawet i dla rodziny; przyznajemy to, ale czy zawsze chętni jesteśmy do dania jej *możności* pracowania, czy chętnie przykładmay rękę do rozszerzenia zbyt szczupłego jeszcze pola, ich działalności w dziedzinie pracy bezpośrednio produkcyjnej, czy nawet przykładamy do tego rękę, czy niestawiamy jeszcze często przeszkód do tego? Na to niech odpowiedzą ci wszyscy, którzy w każdym kroku zrobionym przez kobietę na nowej drodze, widzą zgubny wpływ emancypacyi pozytywizmu, materyjalizmu i... nihilizmu (sic) są ludzie, którzy wszystkie te wyrazy uważają za jednoznaczne. Dla miłości własnego kraju i własnego społeczeństwa, dla miłości wreszcie prawdy i swobody pracy nie przeszkadzajmy pracować tém, które chcą i w jakim chcą byle uczciwym zawodzie, zachęcajmy te, które nie mają chęci, dodajmy odwagi tém, które jej nie mają, starajmy się im *rozszerzyć o ile można pole do pracy*; a nie będziemy mieli tyle nieprodukcyjnych jednostek, tyle lalek, tyle ... nieobwijajmy w bawełnę, tyle nierządnic! Ale wróćmy do rzeczy.



Pastuszek w Tatrach.

Sam projekt który podajemy, nie jest u nas nowym i niesłychanym, nieraz już w pismach zdarzyło się nam czytać o tem, ale były to wszystko, że tak powiem przebąkiwania; z ostatnich czasów, pamiętamy jeden tylko artykuł obszerniejszy w Nr 1 i 2 „Przyrody i Przemysłu“ z r. b., pomieszczony: „Czy kobiety mogą być ogrodniczkami?“ Autor tego artykułu p. K. S., chce bądź co bądź dowieść, że nie mogą i na poparcie swego zdania, ucieka się nawet do takich już zanadto oklepanych argumentów jak to, że kobiety są zanadto delikatne, wypieszczone, za bardzo dbałe o swoję powierzchowność, że mało mają wytrwałości, czy nawet zupełnie są tego daru pozbawione, że wreszcie są *kobietami.* Odpowiadać na takie zarzuty uważamy co najmniej za zbyteczne, powtarzają się one przy każdej sposobności, ile razy tylko mowa o pracy kobiet, ale chcąc pytanie, którem p. K. S. zatytułował swój artykuł i którem właśnie teraz się zajmiemy, rozstrzygnąć bezstronnie, musimy odpowiedzieć na zarzuty inne robione przez p. K. S., to jest odnoszące się wprost do przedmiotu, a które zarazem posłużą nam do wyświetlenia tej kwestyi dla tych, którzy z nią nie są dostatecznie obeznani.

„Pierwszą do tego (ażeby kobiety były ogrodniczkami) przeszkodę, powiada p. K. S. jest brak sił fizycznych. U nas w kraju nauka ogrodnictwa odbywa się od wieków na drodze praktycznej, uczeń zatem obowiązany jest kopać doły i rowy, urządzać regulówkę, zwozić nawóz i ziemię, obcinać gałęzie nieraz grube jak kolano“ i t. p. Jeżeliby nauka ogrodnictwa odbywała się li tylko na drodze praktycznej, tak jak dotąd, to brak sił fizycznych byłby tu dla ogółu kobiet zawadą niepokonaną, ale gdy ona będzie się odbywać na drodze teoretycznej, w szkole, to myślę, że uczenice nie będą potrzebowały kopać dołów, wozić nawóz i t. p., jak dziś w szkole rolniczej uczniowie nie potrzebują sami orać, kosić, bronować i t. p. Takie roboty potrafi wykonać każdy zwyczajny robotnik, a gospodarz, inteligentny ogrodnik lub ogrodniczka powinni koniecznie *znać się* tylko na tem, a znać się mogą, nigdy sami tego nie robiąc.

Z czynności fizycznych dla ogrodników potrzeba koniecznie *umieć* tylko takie, jak: szczepienie, flancowanie, sadzenie i t. p.

„Drugą również ważną przeszkodą, powiada p. K. S., jest delikatne zdrowie kobiet. Ochraniane od młodych lat, od wpływów zewnętrznych powietrza *cierpią za najmniejszą jego zmianą* (?). Tymczasem najważniejsze roboty ogrodnicze odbywają się podczas wiosny i jesieni, kiedy właśnie pogoda jest najzmienniejszą.“

Jeżeli są kobiety w klasie średniej, o którą nam właśnie chodzi, które cierpią za najmniejszą zmianę powietrza, to te należą do bardzo

[1]) Rozumie się, mówimy tu tylko o pracy wychodzącej po za zakres domowego ogniska, przy którem kobietę zawsze widzimy, jak pierwszą pracownicę i królowę.

nielicznych wyjątków i im możemy tylko radzić dla własnego ich szczęścia, opuścić nasz klimat, który był jest i będzie zmiennym. Co się zaś tyczy ogółu kobiet, to dalekie one są od od wrażliwości, jaką im p. K. S. przypisuje. Mamy tego dowody na gospodyniach wiejskich i małomiasteczkowych. Zresztą nasz interlokutor mówiąc o zgubnym wpływie zmian meteorologicznych, zapomniał zwrócić uwagę na to, że w każdym razie praca na otwartem powietrzu, i z natury swej potrzebująca ruchu, daleko zdrowszą chyba jest od pracy w fabrykach, zapełnionych zgubnemi wyziewami i potrzebującej ciągłego siedzenia na jednym miejscu, jak np. w fabrykach tabacznych, w warsztacie szewckim, nad maszyną do szycia i t. p.

„Do innej, jeżeli nie przeszkody to przynajmniej zawady policzyłbym, powiada dalej p. K.S, ubiór kobiecy.“ Jakkolwiek ubiór kobiecy jest może mniej zręcznym od męzkiego do chodzenia między krzewami i doniczkami, to jednak nie tak, ażeby „w szkółkach psuł robotę, lub ażeby pobyt kobiet w oranżeryjach robił niepodobnym; zaczepiając bowiem jak utrzymuje p. K. S. co krok o rośliny, będą je wyrywać z grzęd, zrucać doniczki na ziemię“ i t. d. Doprawdy musimy posądzić p. K. S., że chyba nigdy nie widział kobiet tam gdzie o ich obecności mówi, lub jeżeli widział to bardzo niezgrabne, albo może w krynolinach?... Co do nas, zdarzyło się nam widzieć przy tych zajęciach kobietę, była ubraną w dość krótką sukienkę, bez wszelkich niepotrzebnych dodatków, zrobioną z materyjału mocnego i wcale nieprzyszło nam na myśl to, o czem p. K. S. twierdzi z taką pewnością. Owszem, podziwialiśmy tylko zręczność i zgrabność jaką przy zajęciach ogrodniczych okazywała. Zresztą w niektórych ogrodach jest zwyczaj, że ogrodnicy, mężczyźni chodzą przy długich fartuchach, w których wcale nie zdaje mi się, ażeby im było zręczniej, jak kobiecie w spódnicy. Cóż więc o tem mówić?

„Ostatni powód, który powinien odstręczyć płeć piękną od tego zawodu, jest małe wynagrodzenie. Maximum płacy ogrodników na prowincyi jest 100 rubli rocznie, rzadko kiedy więcej!“ Płaca ta z postępem u nas ogrodnictwa, gdy ogrody będą uważane jako jedno ze źródeł najkorzystniejszych w przemyśle rolnym, nie zaś jako rzecz zbytkowna, lub zresztą co do korzyści poślednia (jak dziś się uważa), powiększy się znacznie. A zresztą tak jak dziś nawet nie jest zbyt mała, a nawet i duża, gdy porównamy ją z tem, co biorą kobiety pracujące dziś; w jakimkolwiek rzemiośle. Bardzo mało znaleźlibyśmy dziś takich, z wyjątkiem nauczycielek, które oprócz mieszkania z opałem i życiem, mają jeszcze 100 rubli.

Wkońcu p. K. S. nieradzi, poświęcać się kobietom zawodowi ogrodnictwa dla tego, że mógłby naukę ogrodnictwa *cofnąć*. W odpowiedzi na to przytoczymy własne słowa pana K.S., wypowiedziane w tym samym artykule. „Przyszłość ogrodnictwa jak nateraz w ręku kobiet spoczywa (chociaż zastrzega) jako właścicielek ogrodów, ich córek i kuzynek (?). Przyjmijcie, są słowa p. K. S., dobrych ogrodników, dostarczcie im dzieł krajowych, lub zagranicznych w tym przedmiocie wydanych, wytłómaczcie im ważniejsze miejsca, jeżeli nie rozumieją (a zkądże będą same rozumiały?) nauczcie się niektórych czynności ogrodniczych, a głównie szczepienia (gdzie i od kogo?) wykonajcie takowe na dzieckach naumyślnie dla was przygotowanych; doprowadźcie te drzewka do koron, a później ofiarujcie je blizkiej wsi włościanom, przy wskazaniu dalszego postępowania i t. d. Niech tylko takie zachęty, kończy, będą zaprowadzone w wielu miejscowościach, a zamiłowanie się utrwali, przejdzie do innych wsi a następnie na całe okolice. Zyska na tem kraj, skorzystają właścicielki, jeżeli wezmą ogrody w *swoję opiekę*, bo oprócz moralnego zadowolenia, ogrody przyniosą im poczwórne dochody. [1])

Jasną nam się teraz rzeczą wydaje jak słońce, *że kobiety mogą być ogrodniczkami*, że wszelkie dowody, jakie przeciwnicy nasi przytaczają są oparte tylko na pozorach, a przeciwnie za nami przemawiają fakta, i fakta te są tak widoczne, że nawet wprawiły w sprzeczność z samym sobą pana K. S., który jest jednym z wielu chcących dowieść koniecznie, że kobiety nie powinny szukać dla siebie zajęcia i pracować na chleb w zawodze, w którym... do tej pory niepracowały. Jeszcze raz powtarzamy: kobiety na tem polu mogą pracować z pożytkiem, i myślę że zechcą pracować, tylko dajmy im możność do tego, to jest, załóżmy dla nich specyjalną *szkołę*.

Z. A. Sza.

* * *

Koncert pana Adama Münchheimera, pomimo dogodnej bardzo pory, nie zdołał zebrać dość licznego grona publiczności. Koncertant wystąpił ze swojemi wyłącznie kompozycyjami, wykazując różnorodne objawy swego talentu. Główną cechę twórczości p. M. stanowi jak wiadomo świetna instrumentacyja i prawdziwie artystyczne wykończenie zewnętrzne, ku czemu pomaga mu mistrzowska znajomość tajemnic sztuki.

Przymiot ten uwydatnia się szczególniej w operze koncertanta „Otton Łucznik,“ z której zaprodukował kilka ustepów.

W ustępach opery: „Stradiota“ szczególniej Barcarolla z chórem zachwyciła wszystkich prawdziwie piękną śpiewnością.

W najnowszym utworze „Mistrz Twardowski,“ p. M. wchodzi na drogę tak nazwanej muzyki przyszłości, której Ryszard Wagner jest ojcem. Muzyk pragnie tu być malarzem, odtwarzającym różnorodne obrazy z pomocą zręcznej instrumentacyi. P. M. zapragnął otóż rozwinąć w swej najnowszej kompozycyi całą o czarnoksiężniku legendę. Podzieliwsze więc całość na pojedyńcze ustępy, stworzył kilka kawałków, które połączone razem, wyglądają niestety na jakąś dziwnie chaotyczną klejonkę. I nie mogło być inaczej, bo w obec takiego założenia nie podobna było ani wysnuć należycie motywów, ani stworzyć pełnej organicznej całości.

Pieśń z IX-go wieku „Bogarodzica“ ułożona na chór i orkiestrę, miłe bardzo zrobiła wrażenie.

Prawdziwą przecież ucztą artystyczną na koncercie o jakim mowa, był dla nas występ p. Jakowickiej, od tak dawna nie produkującej swego talentu na ojczystej ziemi. Głos jej miękki i dźwięczny, silne nader na słuchaczach robi wrażenie. To też przyjęto ją z zapałem i wynagrodzono grzmotem iście oklasków.

Przecudna śpiewka hiszpańska została przez p. J. powtórzoną na żądanie publiczności.

Obok p. Jakowickiej przyjęli udział w koncercie pp. Dowiakowska i Rybicka pp. Fileborn, Cieślewski, Wasilewski, Grüdiger, Suszyński, Siwicki, Ulbrych i Kazalski. p. Dowiakowską i p. Cieślewskiego przyjęła publiczność zasłużonym a hucznym oklaskiem.

Śliczna barcarolla ze „Stradioty“ wykonana przez p. Fileborna, musiała być na żądanie powtórnie odśpiewaną.

W ogóle wszyscy biorący udział w koncercie a także chór i orkiestra wywiązali się należycie ze swego zadania.

* * *

Lublinowi posiadającemu już własny organ pod tytułem „*Kuryjer Lubelski*“ przybywa nowe jeszcze wydawnictwo peryjodyczne mianowicie *Gazeta Lubelska*. Gazeta według prospektu jaki mamy pod ręką, wychodzić będzie od 1 Stycznia roku przyszłego, zajmując się *przedewszystkiem*, sprawami miejscowego rolnictwa, przemysłu i handlu a w dodatku obejmować będzie i część literacką beletryczną, bez której pismo specyjalne niedługo by się prawdopodobnie ostało. Gazeta wychodzić ma trzy razy w tygodniu, to jest: w Poniedziałki, Środy i Piątki, a szczegółowy program jej obejmuje: Wiadomości i rozporządzenia rządowe. Uchwały instytucyi kredytowych, bankowych, assekuracyjnych i innych w pomoc rolnictwu i przemysłowi przychodzących, oraz rozwój tych instytucyj.—Opisy gospodarstw postępowych, zakładów fabrycznych i przemysłowych, oraz warsztatów rękodzielniczych gubernii Lubelskiej.—Artykuły, sprawozdania i wiadomości dotyczące miejscowego rolnictwa, przemysłu handlu. Stosunek tychże do innych gubernij i do ogólnego ekonomiczno-handlowego ruchu całego kraju. — Wiadomości z nauk stosowanych do rolnictwa i przemysłu.—Kursa monet i papierów publicznych, ceny produktów i inne wskazówki zbytu i handlu. — Statystyka miejscowa i porównawcza.— Treściwe wiadomości polityczne. — Kronika miejscowa. — Korrespondencyje. — Odcinek: artykuły różnej treści interes miejscowy obudzić mogące poezyja i powieść.— Ogłoszenia i doniesienia.

Liczne grono współpracowników, kończy prospekt, tak w Lublinie, jak i w różnych punktach gubernii zamieszkałych, zapewnia możność dokładnego opracowania działów, programem objętych.

Cena prenumeraty wynosi kwartalnie rs. 1. z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 35. Za egzemplarz pojedyńczy kop. 5. Wydawcą i Redaktorem jest p. Leon Zaleski.

* * *

[1]) Odpowiedź na artykuł p. n. „Czy kobiety mogą być ogrodn.“ posłałem jeszcze w styczn. to jest zaraz po ukazaniu się takowego, do redakcyi Przeglądu Tygodn. lecz dla *braku miejsca*, które musiało być poświęcone na ujadanie się z prasą warszawską,—nie był wydrukowany.

Niedawno obywatele Kowieńskiej gubernii dali piękny ślad życia, urządzając wystawę rolniczą w Szawlach. Dziś z przyjemnością notujemy ślad podobny zprzeciwnego krańca. Urządzona i otwarta obecnie w Odessie wystawa z sympatyją została przyjętą przez miejscowych obywateli, biorących w niej dość liczny udział. Z wystawców narzędzi rolniczych chlubnie odznacza się wedle słów korespondenta Gazety Polskiej p. J. Długosza, nasz rod. < p. Zalewski właściciel dóbr Rotmistrzówka w gubernii Kijowskiej. Jego *model młockarni pokosowej* swą prostą nadspodziewanie konstrukcyją wzbudza słuszny podziw nietylko agronomów ale nawet specyjalistów mechaników.

BEETHOVEN

Fantastyczna charakterystyka

Poświęcona wszystkim miłośnikom muzyki i wielbicielom wielkiego męża,

przez

Ernesta Ortlepp.

Przełożył z niemieckiego

H. B.

I.

Pierwsza miłość Beethovena.

I.

Wieczór muzykalny.

Był to prześliczny wieczór wiosenny. Znaczna liczba gości zebrała się na letniem mieszkaniu bankiera Erdmana. Wszyscy zaproszeni byli miłośnikami muzyki; sam Erdmann chciał uchodzić za takiego. Należał on do rzędu ludzi, który mają właściwie tylko zmysł dla rzeczy materyjalnych, udają jednak jakoby odczuwali jeszcze coś wyższego. Czując całą próżnią swej wyłącznie pieniężnéj wielkości, affektował on poczucie dla piękna sztuki, z której jednak nic a nic nie pojmował. Jego dwie córki, Beata i Adelaida, brały lekcyje muzyki od wysokiego, bladego, suchego, muzykalnego technika, albo raczej mechanika. Pan Lambertus obznajmił je, w sposób pedantyczny, z aplikaturą i z zasadami harmonii; męczył je nawet kontrapunktem, do którego to ostatniego, szczególnie Adelaida miała wstręt nieprzezwyciężony.

Więcej poważna Beata zwracała na te rzeczy pilną uwagę, dla tego, aby mogła pochwalić się swą wiedzą. Adelaida miała duszę muzykalną; była ona zawsze za nadto wzburzoną i roztargnioną, aby powziąć zamiłowanie do tych rozumowych operacyj, w których żadną miarą zagustować nie mogła.

Popisy muzykalne dnia tego odbywały się pod gołem niebem. Fortepijan wyniesiony został do ogrodu, i już na nim pobrzdąkał dość znośnie kapelmistrz Eilau. Kilka osób należących do składu teatru, odśpiewało włoskie aryje. Obecni dandowie miasta, głównie lornetowali piękną włoszkę Julję, która dziś przed wszystkiemi się odznaczyła. Gdy skończyła aryją, nawet prozaiczny nauczyciel gry na fortepijanie Lambertus, nie skąpił oklasków, chociaż często się chwalił, mówiąc: „Ja nigdy nie daję brawa!“

Adelaida, pokazując kapelmistrzowi Eilauowi kilka nowych sonat, zapytała go, jakiego jest o nich zdania. Dyrektor muzyki Regel i nauczyciel śpiewu Melos, zbliżywszy się, rzucili wzgardliwe spojrzenie na nowe nuty, które tak bardzo zainteresowały Adelaidę. Wszyscy oni jednogłośnie powstawali na kompozytora, który, chociaż był zaproszony na dzisiejszy wieczór, jednak jeszcze się nie zjawił.

— To czyste głupstwo, mówili; ten człowiek chce być oryginalnym, a staje się niesmacznym. Jego utwory nie mają wdzięku; nie trzyma się on wcale tematu i nie pyta o żadną regułę. On myśli sobie: im wścieklej, tem lepiej. Jużeśmy mu to nieraz powiedzieli po przyjacielsku, żeby dał pokój muzyce, oraz, że do tej sztuki nie więcej posiada talentu niż pewne zwierzę do lutni. Ale są tacy, których niepodobna jest nawrócić; wbili oni sobie do głowy myśl stania się większymi artystami niż inni poczciwi ludzie, i na oślep ku temu podążają celowi; ich zapał jest niezmordowany; niepodobna jest zbić ich z drogi, ani naganą, ani ostrzeżeniem.

Adlaida odparła: — Ależ „sonata księżycowa“ tego przez was tak bez litości potępionego mistrza, jednak zdaje mi się być dziełem, w którem jest zupełnie coś nowego. W kompozycyjach Haydna i Mozarta, nie znajduje się nic podobnego.

— Haydn i Mozart, to są wielcy ludzie! zawołał jej ojciec; jakże możesz porównywać ich z naszym kompozytorem sonat?...

— Przecież on teraz znowu napisał nową symfonią, w której, zdaje mi się, że przewyższył nawet Haydna i Mozarta, odparła Adelaida.

— Ależ proszę pani, Haydn i Mozart i *ten Beethoven!...* zawołał z zapałem kapelmistrz Eilau. My także komponujemy nasze sonaty, symfonije a nawet opery, ale nam wcale nie przychodzi na myśl, tak wyróżniać się jak ten jegomość, który już sam nie wie co ma począć, by zwrócić na siebie uwagę.

Dyrektor muzyki Regel rzekł:

— Daję pani moje słowo, że z tego pana Beethovena nigdy nic nie będzie! Jest on człowiekiem bardzo ograniczonym: może mi to pani wierzyć napewne.

W tej chwili otworzyły się drzwi ogrodu i wszedł mężczyzna dość niepozornej powierzchowności. Był on więcej niskiego niż średniego wzrostu, krępy, mocno zbudowany, twarzy okrągłej, cery zdrowej, rumiany; oczy jego były niespokojne, błyszczące i prawie kolące, ruchy albo zbyt powolne, albo znów za żywe. W jego spojrzeniu leżał wyraz dobroduszności i lękliwości. Pewne zaniedbanie w jego ubraniu stało w rażącej sprzeczności z wieczorem wielkiego świata. Przybyły miał na sobie surdut dość znoszony; szyja jego była bez chustki, koszula na piersiach otwarta; w ręku trzymał kij sękaty. Manijery jego były, nie do opisania. Człowiek ten zachowywał się zupełnie tak, jakby był sam jeden. Nie zwracał on wcale uwagi na obecnych tu elegantów, ani na swych kolegów muzykalnych, ani też na piękne damy, które zdawały się wywierać na niego więcej wpływ odpychający niż przyciągający.

Zaraz po swem wejściu, po dość niezgrabnym ukłonie skierował on się prosto do altanki, gdzie usiadłszy na ławce, wyjął z kieszeni małą książkę. Były to urywki z świeżo wyszłego „Fausta“ Goethego. Wkrótce potem odłożył na bok książkę i zanucił sobie jakąś melodyją. Następnie wyjął kawałek papieru i napisał ołówkiem nuty do pieśni „Freudvoll und leidvoll.“ Podczas tego chwycił się parę razy za kieszeń od kamizelki i znalazłszy tamże tylko kilka groszy, robił sobie wyrzuty, że wybrał się do towarzystwa, z którego wychodząc, nie będzie mógł dać służbie przyzwoitego „na piwo.“

Adelaida była pierwszą, która przerwała jego samotność. Zrazu przyjął ją z niezmiernie kwaśną miną; ale ona nie dała się odstraszyć. Zaczęła mówić o jego sonacie „księżycowej“ i oznajmiła, że jest oczarowaną tą jego kompozycyją.

— Zapewne pani nie zrozumiała tej sonaty! odparł. Zaraz jednak po tych słowach okazał wielkie pomięszanie. Trwało to przez chwil kilka; wkrótce jednak znów zaczął śmiało mówić.

— Wybacz pani! rzekł, nie łatwo możesz mnie pojąć, gdyż ja komponuję tylko dla przyszłości!

Dotąd zaledwie był na nią spojrzał. Dopiero teraz spoczął okiem na pięknej postaci dziewczęcia i spotkał się z jej wzrokiem, pełnym słodkiego marzenia.

Przez jej źrenice patrzyła nań dusza, zdająca się mówić: jeżeli *ja* ciebie nie pojmuję, to już nikt ciebie nie zrozumie.

Ludzie są takimi: kto ich szuka, tego unikają dumnie; kto od nich ucieka, za tym biegną. Wkrótce na około naszego *Ludwika* zebrała się grupka, która wyraźnie okazywała, jak bardzo *on* jest przedmiotem ogólnej ciekawości.

Pan Erdmann poprosił gościa, aby zechciał zagrać na fortepijanie jedną ze swoich fantazyj. Kosztowało wiele kłopotu, zanim zdołano go do tego nakłonić. W końcu zagrał, ale tak, że wkrótce nie miał ani jednego słuchacza prócz pięknej Adelaidy. Wszyscy odeszli i rozproszyli się po ogrodzie. Śmiano się, hałasowano, żartowano. Jedna tylko Adelaida, oświetlona czarującym promieniem księżyca, stała przy nim. Łza błysnęła w jej oku. On schwytał ją za rękę i z dziękczynieniem przyciskał takową do ust swoich; ona odpowiedziała uściśnieniem. Objął ją tedy wpół, pocałował, i nie rzekłszy ani słowa, wyszedł.

II.

Przyjaciel.

— Czy podobna! zawołał *Florio*, gdy ujrzał swego przyjaciela *Ludwika*, wchodzącego do winiarni. — Wszakże miałeś dziś być na wieczorku u Erdmanów?

— Uciekłem stamtąd, odpowiedział Ludwik, gdyż nie mogłem dłużej wytrzymać. Wyobraź sobie, że widzisz naokoło siebie wszystkich tych gawronów, wszak oni stawiają artystę na równi z linoskokiem i mówią: pokazuj nam swoje sztuki! Wyobraź sobie tych bałwanów, którzy nic więcej nie mają prócz pięknych

szat i pieniędzy, co moment poprawiają swą toaletę przed lustrem i potem, z założonym wielkim palcem w wykrawkę od kamizelki, defilują przed tobą. O! kochany Florio, na to nie ma co powiedzieć! Dość, że w bliskości takich fanfaronów wytrzymać nie mogę; źle mi się robi, gdy ich widzę. A ponieważ ich tam było kilku, musiałem koniecznie oddalić się. Ale jestem szczęśliwy, mówię ci, szczęśliwym nad miarę! Widzisz mnie dzisiaj pełnym radości; może wkrótce ujrzysz mnie zamyślonym, albo nawet zrozpaczonym!

— W tem wszystkiem, zdaje mi się gra pewną rolę pieśń Goethego, rzekł Florio.

— Napisałem do niej melodyją, odpowiedział Ludwik wyciągając z kieszeni kartkę papieru. Spojrzyj! Co mówisz na to?

— O! pyszne! pyszne! zawołał Florio. Już sam początek!.... A i zakończenie! Jak ono oplata serce coraz ciaśniejszym kręgiem. Beethovenie, jesteś zachwycającym!

— To *ty* tak mówisz, przerwał mu Ludwik, ty, mój jedyny przyjaciel, który mnie ceni; inni bowiem przyjaciele, są prawie gorszymi od nieprzyjaciół. Gdy ludzie kogo bliżej poznają, to myślą sobie, że tenże musi być mniej więcej do nich podobnym, i zaraz się gniewają, jeżeli ten ktoś wzbije się na wyżyny, gdzie im znika z oczu. Duch wyższego polotu, nie tylko powinien wznosić się do pewnej wysokości, ale nadto powinien tam na górze bujać swobodnie, od jednego szczytu do drugiego. Takie jest moje zdanie; ale panowie Eilau, Melos, Regel i t. p. nic o tem nie chcą słyszeć. Kelner, butelkę szampana! Kochany Florio, nie posiadam się dzisiaj!

— Ależ proszę cię, czy ty masz pieniądze?

— Co ja się tam pytam o pieniądze! odparł Ludwik. Pieniądze, mój kochany, jest to rzecz, którą codzień więcej nienawidzę. Pieniądz jest to właściwy szatan oraz zacięty wróg wszystkiego co jest wielkiem i pięknem. Pieniądz, jest zarazem przyjacielem wszystkiego co jest nikczemnem i niskiem; pieniądz, to najnędzniejsze i najpodlejsze błoto; nie mogę ci opisać, jak bardzo nim gardzę!

Ty wiesz Florio, że jestem biedakiem; ale dziś jestem szczęśliwy! Dla tego chcę pić szampana, i na tem basta!

Podano butelkę.

— Czy chcesz upić się dzisiaj? zapytał Florio.

— O! Ja już jestem pijany, nim jeszcze dotknę się wina. Ja prawie zawsze jestem odurzony. Chwała Bogu, że mogę tu być sam na sam z tobą. U Erdmanów było strasznie: nic jak gruba materyjalność: pieniądze, przepych, czczość. A jednak było tam dla kontrastu *coś*, niebiańskie *coś*, mówię ci..... I to *coś* nazywa się Adelaida... Ona.... Chodź! Niech żyje Adelaida!....

Trącili się kieliszkami, wołając: niech żyje Adelaida!

Dziwnie się jakoś składa, rzekł Florio; właśnie przepisałem sobie wiersze pod tytułem: „Adelaida.“ Autorem ich, jest niejaki Matthisson. Powiadam ci, że mnie ta pieśń oczarowała.

— Dawaj! zawołał Ludwik, i szybko chwycił za papier, który mu Florio podał.

Beethoven przeczytał pomrukując półgłosem wiersze, i podczas tego zatrzymywał się, patrząc w ziemię. Łzy stanęły mu w oczach. Nakoniec rzekł: To nie jest zwyczajny wiersz; to muzyka. A ten poeta... jakże go nazwałeś?... Mateusz?...

Czy chcesz go zrobić ewangelistą? odparł Florio z uśmiechem. On nazywa się Matthisson.

— A niechże go! Toć ten przeklęty Matthisson ukradł mi moje myśli z dzisiejszego wieczoru. Patrz! Wszak to sama melodyja. To żyje i drga coraz żywiej... coraz większej nabiera siły.... Słychać szum liści..... Śpiew.... Wszystko burzy się, faluje, jakby całe stworzenie uledz chciało rozkosznemu zachwyceniu.... Patrz, albo raczej słuchaj!.... Albo poczekaj, wypijemy tylko.... Szampan jest wcale nie zły!.... Musimy wypić zdrowie pana Fontany.

— Niech żyje pan Fontano!

Trącono się kieliszkami.

Pan Fontano przymusił się do słodziutkiej minki, gdyż Beethoven był mocno opisanym w jego księdze. Zawsze jednak miał nadzieję, że kiedyś odbierze swoje, i dla tego pozostał o ile można uprzejmym.

— Mówię ci, ciągnął dalej Ludwik, że ludzie nic a nic nie znają się na sztuce. Ach! kiedyś przyjdzie czas, że wystawią mi pomnik... i wtenczas może jeszcze mniejsze będą mieli pojęcie o sztuce niż je mają dzisiaj.... Jest miejsce, czy tam miasto, albo raczej mały Paryż, leży w Saksonii i nazywa się Lipsk; tam jest wiele kawy, cukru, jest dobry tytoń, są znakomite cygara, materyje jedwabne, sukna i liczni kupcy; ale nie są oni wcale tak głupi.. Ludzie chwalą nasze południowe Niemcy.... Tak, gdy idzie o połechtanie uszów, to jeszcze jakoś ujdzie... ale jeżeli chcesz trochę głębiej, to i w Wiedniu nie ma co... Ale ten Lipsk przyrosł mi do serca. Chciałbym choć raz tam być... Opisywano mi go jako bardzo prozaiczne miasto, ale toć my zawsze wzdychamy do tego, co jest od nas dalekiem....

Po cóż ci daleko szukać?
Patrz, co dobre, blisko tu!...

tak mówi mój nieznajomy przyjaciel. Zapewniam cię.... z Schillerem, to jakoś tak i siak, ale ten Goethe to ma dyjabła w sobie! Rozumie się, że Shakespeare przeszedł ich wszystkich. I Jean Paul wcale niczego...

— Niechaj żyje!

Florio chciał protestować.

— Sza, sza, przerwał mu Ludwik, jego poezyja jest muzyką.

Florio trącił kieliszkiem, i szampan popłynął na zdrowie Jean Paula.

— Skończyłem nową symfoniją, rzekł Ludwik; muszę ją tylko jeszcze napisać. Jest ona z *C* dur. Dziwaczny to utwór. Gdybym tylko nie umarł przy pisaniu finału, gdyż to przechodzi ludzkie siły. Ten finał spowodował mi kilka bezsennych nocy. To będzie wyższem od wszystkiego co dotąd istniało.

—Ty mnie nie słuchasz! zawołał Florio. Zobaczysz, że będę cię jeszcze musiał wziąć w kuracyją.

— Ba! odparł Ludwik, gdyby artysta chciał pójść za radą lekarzy, to znaczyłoby to samo co: bądź zdrowa sztuko! Artysta powinien stworzyć coś nadludzkiego, a do tego potrzebne są nadludzkie wysiłki.

— A jeżeli przez to sprowadzisz sobie śmierć przedwczesną? zapytał Florio.

— Basta! odparł Ludwik. Wtenczas pocieszę się tem, że będę żyć wiecznie. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby katowi wolno było za pieniądze i dobre słówko ściąć głowę każdemu, kto do niego się o to zgłosi. Jabym zaraz do niego poszedł z prośbą o zdjęcie mi tego mizernego caput, w którem obecnie nie ma nic prócz jednej symfonii z *C* moll. Wtenczas już żaden szałaputa adwokat nie mógłby się do mnie przyczepić; wtenczas od razu, wszystkie weksle, w których zapisujemy duszę naszę dyjabłu, byłyby spłacone.

— Ty, mój bracie, jeszcze zrobisz majątek, rzekł Florio.

— Ja, majątek? zawołał Ludwik drwiąco. Mój przyjacielu! Sztuka i fortuna, to jest to, co się w codziennem życiu zwie fortuną, są wiecznemi antypodami. Co do mnie, pozostanę przez całe życie nieszczęśliwym. Ale dziś jestem szczęśliwy. Jeszcze raz: niech żyje Adelaida!

Florio trącił. Kieliszek Beethovena rozbił się.

—Ho! ho! zawołał tenże, patrzaj, to zły znak.

Beethoven chciał wypić jeszcze jedną butelkę, ale jego szczery przyjaciel, młody doktór medycyny, pociągnął go za sobą z winiarni i odprowadził do domu, to jest do domu, w którym Beethoven mieszkał na czwartem piętrze, na komornem, gdyż artyści nie miewają domów własnych.

III.

Adelaida.

Słowiki śpiewały w zaroślach, wodospad szumiał, motyle i nimfy igrając latały po nad strumykiem, kwiaty i trawy uginały się pod tchnieniem wiosennego wiatru, wzgórza jaśniały w promieniu pogodnego słońca, a na ich mchem pokrytej powierzchni rysowały się fantastyczne obrazy. Ale ten powiew i te promienie i te barwy kwitnących w około kwiatów, były jakby muzyką, która, na pozór w bezładnym chaosie, tryskała tysiącem czarujących melodyj.

Beethoven siedział samotnie na tarniowej ławeczce, w cieniu starego dębu, którego dziwnie uformowany kształt wydawał mu się być obrazem jego najnowszej symfonii. Dąb dźwięczał z *C* moll, wszystko zaś w około było z *Es* i *As* dur.

Ludwik oparł się niedbale o pień dębu. Jego kapelusz leżał zdala od niego, prawie do połowy zanurzony w wodzie, tuż obok płynącego strumyka. Miał on przed sobą kawałek papieru, na którym były wiersze Matthissona. Im więcej się w nie wpatrywał, tem jaskrawiej w około kwitnęły kwiaty. Dźwięczały one nawet, a szczególnie konwalije dzwoniły mocno swojemi kielichami, jakby chciały go ukołysać do czarodziejskiego snu. Wlepił on spojrzenie pełne marzenia w niezmierzoną przestrzeń lazuru. Wodospad grał; odległe góry zwracały echo słodkich melodyj. Liście dębu i gałązki krzaków drżały coraz więcej i coraz żywiej, a nawet obłoki tam wysoko, z ich złocistą powłoką, były przepełnione harmonią i nadziemskiemi

tony, i wszystko cokolwiek widział na około siebie, powtarzało mu tylko jedno imię, a to imię było: *Adelaida*.

Był to sen słodki. Zwyczajne, szare barwy życia przedzierzgnęły się w złociste kolory, i martwa, zdrętwiała przyszłość uśmiechnęła się doń nieskończonym różowym rajem; zimne zwłoki nadziei powstały przed nim z grobu i szepnęły mu: ja żyję znów i wkrótce zjawię ci się w urzeczywistnieniu.

I śniło mu się wtenczas o symfonii: z *A* dur, o symfonii pastoralnej, o symfonijach z *B* dur i z *F* dur i o wielu innych świetnych dziełach, które wszystkie w postaci cudnych dziewic, jakby nadludzkie istoty, przesunęły się przed nim, opromienione blaskiem wiecznej piękności.

Zanim się spostrzegł, już na papierze nutowym, który miał z sobą, była napisana melodyja. Ucałował nuty, i ze łzami w oczach zawołał: Adelaido! Adelaido! o ty moja najdroższa!

Nazajutrz, ozdobny odpis pieśni znajdował się w rękach Adelaidy.

IV.

Zrzeczenie się.

Pewnego pięknego wieczoru, w jesieni, Ludwik siedział znów z swym przyjacielem Floryjanem u Włocha Fontano, w poetycznym kąciku winiarni. Florio przepędził był pół roku w podróży i dopiero co wrócił.

— Beethovenie, ty zaczynasz pić! rzekł Florio. Mówiono mi o tem.

— Mocno mnie to boli, że muszę pić, odparł Beethoven; ale to przejdzie.

— Znam smutne przykłady o takich, którzy zeszli aż do wódki, rzekł Florio. Mój kochany, mój dobry Beethovenie, błagam się, oszczędzaj się!

— Cha! cha! zaśmiał się Ludwik. Artysta i oszczędzać się! Przestań, przestań doktorze! I chociażbym jutro miał umrzeć, tem lepiej! W zaufaniu mówiąc, bardzo sobie życzę śmierci. Często zastanawiałem się nad tem, co jest większą zbrodnią: czy odebranie sobie życia lub też życie wśród hańby.

— A czyliż muzyka nie daje ci na to odpowiedzi? odparł Florio. Wszak wiesz, że obok mojej medycyny, jestem też kawałkiem muzykusa. Dawniej, miałem fortepijan. Dyjabli go wzięli. Teraz lubię zagrać sobie czasami u ciebie; ale to ci zapewne nie robi przyjemności, słuchać mnie?

— Florio! Mówię do ciebie z całą otwartością, zawołał Beethoven, ja w ogóle nie lubię, gdy kto gra u mnie. Częstoś mnie mordował swojemi szalonemi akordami i okropnemi przejściami. Aż mnie mrowie przechodzi, gdy o tem wspomnę.

— Przebacz! rzekł Florio, nalewając pierwszy kieliszek drugiej butelki. Ja może tyleż czuję co ty; nie umiem tylko tak wyrazić. Zechciej pamiętać o tem, że ja muszę chorych leczyć.

— A ja, przerwał mu Beethoven, mam uleczyć muzykę, która prawdopodobnie wkrótce umrze od zarazy. Komu więc gorzej: mnie, czy tobie? Tyś już nie jedną odbył szczęśliwą kuracyją; ale uleczyć panów Regla i Melosa, to chyba niepodobna!

— A propos! zapytał Florio. Jakże z Adelaidą?

— Wyszła za mąż! odparł Ludwik z sardonicznym uśmiechem. Jest może szczęśliwszą niż by nią była ze mną.

Łzy zmięszały się z uśmiechem Beethovena, gdy to mówił.

— Słuchaj Florio, ciągnął on dalej. Ty jesteś stworzonym dla tego świata i świat ten dla ciebie; ale ja, mówię ci, skończyłem z nim teraz i zerwałem z miłością. Adelaida, ach jakżem ją kochał! Szalałem za nią; jej zawdzięczam dwie nowe symfonije i jedną operę, oprócz tego dwa tria i jedną sonatę. Patrz, ta Adelaida wyszła za barona Holzendorfa, tego wysokiego, chudego, żółkłego trutnia... Ja nie jestem przystojnym, ale wytrzymać mogę porównanie z tą tyczką, która nie ma serca, tylko pieniądze i dobra. Ach! a ja w mem ubóstwie miałem tak czyste serce, i ono całkiem do niej należało... Posłałem jej pieśń Matthissona, która mi się wcale nie źle udała. Odpisała mi. Parę razy widzieliśmy się potajemnie. Przeżyliśmy piękne chwile. Mówię ci, dziewczyna była zupełnie odurzoną i ja także. Od tego czasu częściej bywałem u Erdmannów. Od razu otrzymuję od pana ojca list, którym mi dom swój zamknął. Osłupiałem. Potrzebowałem pieniędzy, a nie byłem zdolnym do komponowania. Wybacz mi, jestem człowiekiem; może później uważać mnie będą za coś więcej. Tobie muszę wszystko powiedzieć. W ośm dni potem, słyszę, że Adelaida wyszła za mąż, za tego cienkiego jak cybuch barona. Przez czternaście nocy z rzędu, nie spałem wcale. Teraz znowu śpię dobrze. O! kochany Florio! odtąd żyć będę na tym świecie jedynie dla świata wyższego. Miałem przecudne sny. Wiem o przyszłości, która wynagrodzi mi wszystkie doznane cierpienia. Czasami zdaje mi się, żem umarł i że duch mój unosi się w sali koncertowej nad publicznością, a wszyscy szepczą moje nazwisko. Zaczyna się symfonija z *C* moll; słuchają; dreszcz po nich przechodzi. *Es* dur i *As* dur kołyszą wszystkich w słodkie marzenia. Publiczność wpada w zachwycenie. *C* dur budzi ją. Nadchodzi olbrzym.. Ale po co ja to mówię? Klnę się, jeżeli to dzieło nie wywrze wpływu, jeżeli ono nie wstrząśnie ludzi do głębi szpiku, wtenczas cały świat jest głupim, niezgrabnym klocem... Ale mówiąc pomiędzy nami, panom Regel i Melos, przy słuchaniu mojej symfonii, uszy wyrosną jeszcze na łokieć dłużej....

— A Adelaida? zapytał Florio.

— Daj jéj pokój! odparł Ludwik. Nie kocham już nic ziemskiego. Moją Adelaidą, moją wieczną kochanką odtąd będzie muzyka. Moje z nią małżeństwo będzie płodne. Zerwałem na zawsze z kobietami. Czasami mógłbym oszaleć, gdy widzę przed sobą taką piękną postać, która jest samą melodyją i harmoniją. Ale teraz szukam jedynie dyssonansów i szydzę ze zwykłej harmonii. Wkrótce znienawidzę i mężczyzn, a tem samem zerwę z całą ludzkością.

— Czy i ze mną? zapytał Florio.

— Nie wiem, czy będziesz stanowił wyjątek, odpowiedział Ludwik. Gdy pomyślę o mojéj *D* moll symfonii, która kiedyś ma być mojem ostatniem dziełem, do którego jednak daleko nie jestem dojrzałym, to już i o tobie mowy być nie może. Wtenczas będzie mi tylko szło o wielką nienawiść i wielką miłość dla całej ludzkości. Florio ciągnął on dalej, robi mi się miękko na sercu... Pójdźmy! Jeszcze jeden kieliszek na zdrowie: ...... *Adelaidy!*

— I na stałość naszej przyjaźni, aż do końca świata!

Beethoven, ze łzami w oczach porwał się z miejsca i pociągnął za sobą przyjaciela.

d. c. n.

STAW KSIĘDZA OPATA

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ IV.

Wyjaw mi twego smutku przyczynę.
Drogi mój panie! *Shakespearè.*

Słabość pana Denbigha krótko trwała. Kilka dni zupełnego spoczynku uleczyło ją zupełnie. Elsie nie zapomniała bynajmniej o postanowieniu jakiem ją natchnęła rozmowa ze starą sługą, ale nie łatwo jej było znaleźć sposobność doprowadzenia go do skutku. Nieraz starała się naprowadzić rozmowę do wielkiego pytania:

— Jaki jest powód twego tajemnego niepokoju, Filipie? lecz zawsze w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi.

Jednego wieczoru, gdy razem siedzieli, pan Denbigh, ni z tego ni z owego, zapytał żony, czy nie czytała kiedy Southaja *All for Love* (wszystko dla miłości), a odebrawszy przeczącą odpowiedź, powiedział, że przeczyta ten utwór. Gdy skończył, zapytał jak jej się to podoba?

— Bardzo piękne, odrzekła, zdaje mi się tylko, że nienaturalne.

—. Jakto? sądzisz więc, że szatan nieplądruje już po świecie szukając kogoby mógł pożréć?

— Nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że niepodobna przypuścić, aby małżeńskie pożycie Cyry mogło być tak spokojne i szczęśliwe, przy boku tego okropnego człowieka.

— Tak sądzisz? nawet kiedy.... „kochał ją tem silniej, ten występny i nieszczęśliwy człowiek im drożej jej posiadanie opłacił.“ Czyliż ta miłość niezasługiwała na odrobinę wzajemności, jakkolwiek złym mógł być ten biedak?

— Nie mówię, żeby ona go kochać nie mogła. Ale właśnie im więcej go kochała tem więcej musiała czuć przepaść, która ich dzieliła. Tak mi się przynajmniej zdaje. O! to jest okropna, rozdzierająca powieść; szczęście, że nie prawdziwa.

— Tak jest, to szczęście w istocie, powtórzył pan Denbigh, po czem nastała chwila milczenia. Elsie przerwała ją temi słowy:

— To jedno dostatecznemby już było do uczynienia nieszczęśliwą bohaterki tego poematu, że musiała miarkować, iż męża jej otacza atmosfera niepojęta dla niej; że coś przed nią

jest ukrytego. Możeż być cóś okropniejszego dla kochającej kobiety?

To rzekłszy zamilkła, a czując się na krawędzi swego wielkiego pytania, zarumieniła się tak znacząco, że mąż zapytał jej w swój zwykły podejrzliwy sposób:

— O czem teraz pomyślałaś, Elsie?

Ona wstała ze swego miejsca i uklękła przy nim. Zarzuciła obie ręce na jego szyję, i skłoniła głowę na jego piersi, tak, że nie mógł widzieć jej twarzy.

— Pomyślałam sobie, rzekła z mocno bijącem sercem, że byłoby mi bardzo boleśnie, gdybyś cokolwiek ukrywał przedemną, jaką swoją przykrość, lub zmartwienie. Cobądźby to było, chciałabym wiedzieć i dopomódz ci do zniesienia tego.

Skończyła swoję małą przemowę, zdziwiona że jej nie przerywał; on bowiem ani się poruszył, dopóki nie podniosła na niego oczu, w obawie, czy go nie rozgniewała. Ale w jego twarzy nie było śladu gniewu; spojrzał tylko smutnie na żonę i rzekł do niej:

— Skąd ci przyszły takie przywidzenia, moja biedna Elsie?

— Przychodziło mi czasem na myśl, kiedym cię widziała przygnębionym i roztargnionym, że ci jakaś tajemna zgryzota dolega; może co takiego, czegobyś nie rad przedemną powiedzieć; i zawsze pragnęłam cię uprosić, abyś mi zaufał, i nie ukrywał nic przedemną. To nie jest prosta ciekawość, drogi Filipie, ale chęć podzielenia z tobą przykrości, jakakolwiekby ona była, i upewniam cię, że wszystko znieść potrafię, bylebym miała to przekonanie, że mi ufasz zupełnie.

On wziął ją w swe objęcia i przytulił do siebie, gładząc jej miękkie jasne włosy.

— Biedne dziecię! rzekł, jakoby sam do siebie, przyczem ciężkie westchnienie dobyło się z jego uciśnionej piersi.

— Filipie, nalegała ośmielona Elsie, jeżeli masz jakie zmartwienie, powiedz mi je. Mnie wszystko jedno, jakiekolwiekby ono było.

— Czy tak? Sama nie wiesz co mówisz, Elsie. A jeżeli ja też, podobnie jak Elcëmon, zaprzedałem się szatanowi dla twojej miłości?

Obrażona nieco, że ją zbywał żartami jak dziecko, pani Denbigh, rzekła z godnością:

— Nie śmiej się ze mnie Filipie. To twoja stara mamka pierwsza niepokoić się o ciebie zaczęła, i podobno mnie zaraziła. Ułożyła sobie, że otrzymałeś jakieś złe wiadomości, lub że cię spotkało zmartwienie wieczorem w wigilią naszego ślubu. Dokądże idziesz Filipie? Co się stało?

— Ktoś dzwoni do apteki, odpowiedział już zedrzwi.

Po kilku minutach powrócił.

— Nikt nie dzwonił rzekł: Zdawało mi się. Mów dalej Elsie. Zaciekawiłaś mię. Nie wiedziałem, że Isott tak się zajmuje mojemi sprawami. Cóż więc miałem usłyszeć, czy uczynić w dzień naszego ślubu?

— Poprzedniego wieczoru; ale rzeczywiście nie warto o tem mówić, dla tego ci tylko powiadam, żebyś zakazał plotek twojej Isott, i powtórzyła mu wszystko, co usłyszała od starej kobiety i jej wnioski, jakoby ukrywał jakiś niepokój czy zmartwienie przez wzgląd na żonę.

— A wiesz Filipie, dodała, że to byłoby dla mnie najboleśniejszem; wszystko inne zniosę łatwiej.

— Cóżbyś na to powiedziała Elsie, gdyby się okazało, żem ja kochał cię więcej nad Boga i nad własną duszę?

Ona spojrzała na niego, niemal przestraszona. On chwilę wpatrywał się w jej zalęknioną twarz, potem wybuchnął głośnym śmiechem.

— Co za szkoda, że tak wielkie zajęcie musi się skończyć na niczem! rzekł żartobliwie. Czyż nie przyszło nigdy na myśl ani tobie kochanko, ani poczciwej Isott, że ludzie poświęcający się zawodowi medycznemu, otrzymują czasem telegraficzne depesze o niezwykłych godzinach, i że mogą bywać roztargnieni i nie w humorze, nie mając żadnej strasznej tajemnicy na sercu?

— Telegraficzne depesze! powtórzyła Elsie zwolna, jak gdyby rozważając tę nową myśl czyż tak było rzeczywiście? Więc to był posłaniec z biura telegraficznego? Musisz doprawdy śmiać się ze mnie Filipie, że tak jestem ciekawa, kto to mógł być?

Filip Denbigh uśmiechnął się rzeczywiście, i poszedłszy prosto do biórka, w którym chował swoje papiery, wyjął jedną z tych ostęplowanych kartek, których widok niejdno serce do żywszego tętna pobudza. Był to telegram z Briswicku, donoszący o stanie zdrowia jednego z pacyjentów pana Denbigh i datowany w wigiliją jego ślubu.

Elsie zawstydzona spuściła głowę. Filip nie mógł znieść widoku jej zakłopotania, schylił się i ucałował jej czoło.

— Jutro się rozmówię ze starą Isott, rzekł: te nieznośne baby, które człowieka w niemowlęctwie karmiły i piastowały, nie mogą tego pojąć, że kiedyś może obejść się bez ich opieki.

— Nie gniewasz się na mnie? zapytała nieśmiało Elsie.

— Ja miałbym gniewać się na ciebie? O moje biedne dziecię, rzekł siadając znowu z ciężkiem westchnieniem, ja miałem nadzieję, że cię uczynię szczęśliwą, a podobno przyniosłem ci tylko niepokój, troskę i zmartwienie. Lepiej dla ciebie było, gdybyś mię nigdy nie była poznała.

— Musisz się gniewać na mnie, bo inaczej takbyś nie mówił, rzekła. Wiesz o tem, że się uważam za najszczęśliwszą kobietę w świecie.

— Jakkolwiekbądź, jesteś moją żoną, rzekł nagle; wzięłaś mnie takim, jakim jestem, moja biedaczko, i musisz krzyż swój znosić, cokolwiek się stanie. Siądź więc tu Elsie droga, i pozwól mi złożyć głowę na twem ramieniu, bo dziś jestem bardzo znużony. O tak! kochanko moja, jestem bardzo, bardzo zmęczony!

Po upływie kilku dni pan Denbigh w zupełności powrócił do dawnego zdrowia, i z nowemi siłami wziął się do pracy.

Czas szybko upływał; minęło lato, minęła, zima znowu powróciło lato, a spokojny bieg cichego wiejskiego życia niczem nie został zakłócony. Elsie Denbigh ani się spostrzegła jak minęły dwie rocznice jej ślubu i trzecia się zbliżyła. Przez ten czas powodzenie pana Denbigha ciągle wzrastało pod każdym względem; sława jego się rozszerzała, dochody się zwiększały, i w całej okolicy uważanym był za wzór człowieka zasłużenie szczęśliwego. Miłą małżonkę swoję uwielbiał więcej niż kiedy, a od kilku miesięcy podwójnie tkliwą otaczał ją troskliwością: gdyż największe błogosławieństwo, bez którego najszczęśliwsze małżeństwo jest niezupełnem, miało się wkrótce stać jego udziałem. Serce Elsie przepełnione było radosną wdzięcznością; to ją tylko dręczyło, że nie mogła dobrze wyrozumieć jakie były pod tym względem uczucia męża. Cieszył się wprawdzie widokiem jej uszczęśliwienia, i z upodobaniem patrzył na jej radosne macierzyńskie przygotowania; jednakże ona spostrzegała, i to ją nie pomału dziwiło, że chociaż ze szczerem zajęciem oczekiwał przyjścia tego nowego skarbu, oczekiwanie to widocznie łączyło się z wielkim niepokojem.

Pewnego styczniowego poranku Elsie stała w oknie wyglądając powrotu męża, który się spóźniał na śniadanie, i przypatrywała się bezmyślnie zimowemu krajobrazowi, w którego głębi wznosiły się, na białem tle okrytego śniegiem pola, wysokie drzewa z wiszącemi na nich, i odbijającemi się w ponurych wodach stawu księdza opata, grubemi soplami lodu.

Odwróciła się gdy wchodził Filip Denbigh, zacierając ręce i wyrzekając na zimno. Na stole leżała świeża przyniesiona torba z listami, od której kluczyk nosił zawsze przy łańcuszku od zegarka: otworzył ją i wyjął listy.

— To mi nie na rękę, rzekł przejrzawszy pierwszy z nich. Oto wzywają mnie do Londynu, abym się stawił jutro w sprawie wyrobnego domu Briswicku. Dziś muszę jechać.

— Jak to źle wypada! a właśnie jutro wieczór pani Carter ma przyjść do nas na herbatę ze swemi dziećmi i siostrzeniczkami. Będzie Cię nam brakowało. Co za szkoda.

— To jeszcze nie tak wielkie nieszczęście; tylkoż ty mi się nie utrudź zbytecznie, mój aniołku. Będę się starał pojutrze wrócić do domu.

— Spodziewam się, że wrócisz. Przecież to pojutrze rocznica naszego ślubu!

Wypadało panu Denbighowi jechać pociągiem odchodzącym z Slowcombu o pierwszej godzinie z południa. Ponieważ zaś powóz pocztowy przejeżdżał przez Sedgebrook o dwunastej postanowił przeto korzystać z niego, nie narażając swego konia na ślizgawicę.

— A ja cię odprowadzę, rzekła prosząco Elsie, spiesząc czynić potrzebne przygotowania do niespodziewanego odjazdu męża. On się zawahał, ale nie potrafił się oprzeć błagalnemu wyrazowi jej twarzy, i odpowiedział:

— Dobrze, dobrze, nie mogę ci odmówić. Ale Jonatan pojdzie za nami i odwiezie cię do domu. Nie pozwolę na to, abyś się ryzykowała po tych ślizgich ścieżkach, bez opieki mego ramienia.

Często potem stara Isott przypominała sobie, jak stojąc we drzwiach patrzyła za odchodzącemi; jak silny mąż miarkował swój krok do wolniejszego stąpania delikatnej małżonki, która wspierała się na nim bardziej z miłości dla tego opiekuńczego ramienia, niż z rzeczywistej potrzeby. Inni także opowiadali później jak ci szczęśliwi małżonkowie szli przez główną ulicę rozmawiając poufale; jak on wsiadłszy do powozu oglądał się za nią, dopóki tylko mógł, i jak ona smutnie powróciła do domu.

Goście, o których wspominała pani Denbigh byli bardzo nieliczni: całe towarzystwo miało się składać z rodziny wikarego, którą chciała ugościć. Wikary i jego żona, byli jedynemi dorosłemi osobami w tem gronie; ale pani Denbigh prowadziła życie tak ciche i jednostajne, że ta mała rozrywka była już wypadkiem dla niej, i troszczyła się o to, aby jej mieszkanko jak najładniej wyglądało. Spędziła całe posępne zimowe popołudnie na odnowieniu zielonych gałązek dzikiego mirtu, któremi od świąt Bożego Narodzenia salonik był przystrojony, i dosyć się przytem umęczyła.

Godzina przyjęcia była wyznaczona bardzo wczesna, jak się tego łatwo domyśleć. O szóstej godzinie wieczorem już było po herbacie i towarzyszących jej przysmaczkach, i całe towarzystwo przeszło do saloniku, gdzie dzieci miały się bawić w gry, wiekowi swemu właściwe. Niebawem czworo dziatek wikarego i dwie małe jego siostrzeniczki napełniły wesołym gwarem zwykle tak cichy salonik.

— Jak ślicznie wygląda dziś pani Denbigh! szepnęła pani Carter do swego męża; zdaje się jak gdyby piękność jej coraz świeższego nabierała powabu, nieprawdaż?

— W samej rzeczy doskonale wygląda; bardzo jej do twarzy w tym czarnym aksamicie, i nadzwyczaj pogodne dziś ma wejrzenie.

Elsie rzeczywiście nigdy jeszcze tak piękną nie była; jej biała płeć i błękitne oczy korzystnie odbijały od czarnej sukni, która ze swym kwadratowo wyciętym stanikiem i wiszącemi rękawami, czyniła ją podobną do obrazu starożytnej szkoły. Za całą ozdobę miała ciężki, staroświeckiej roboty srebrny garnitur, a ładna jej twarzyczka milszą się jeszcze niż kiedy wydawała.

— Niech się pani zbytecznie nie męczy, rzekła do niej pani Carter, widząc że znowu usiadła do fortepijanu.

— O! to mię wcale nie męczy, odparła z uśmiechem. Ja tak lubię kiedy się dzieci weselą! Szkoda że Filipa tu nie ma.

— Ja nie podzielam tego zdania, pomyślała w duchu pani Carter. Dziwna rzecz, jak ja cierpieć tego człowieka nie mogę.

Kiedyż go się pani spodziewa? zapytała głośno.

— Może jutro.

— Oto Isott telegrafuje do pani odedrzwi, rzekła pani Carter; zdaje się że ma do pani interes.

Pani Denbigh poszła ku drzwiom, a służąca wyprowadziła ją do przedpokoju; jej poczciwa pomarszczona twarz, wyrażała przykre zakłopotanie, gdy rzekła do swej pani:

— Jest tu jakiś mężczyzna, który ma interes do pana; a gdym mu powiedziała, że pana nie ma w domu, oświadczył, że chce się widzieć z panią. Cóż mam mu powiedzieć?

— Cóż to za człowiek?

— Jakiś oryginał, proszę pani; wygląda na kształt marynarza, jeżeli nie jest, Boże odpuść, włóczęgą polującym na łyżki po kuchniach; ale ja go zaprowadziłam do apteki, gdzie się chyba tylko w mixtury i pigułki zaopatrzy.

— Czyś mu powiedziała, Isott, zapytała Elsie, że pan Denbigh będzie w domu jutro, a najdalej pojutrze?

— A jakże: ale on mówi, że z panią tak samo się może rozmówić, jak z panem. Przykro mu że pani przeszkadza, mówi, ale minutę tylko zabawi.

— Zaczekajże tu chwilkę póki ja nie powrócę, moja Isott, rzekła pani Denbigh. Czy jest tam światło? To dobrze. Zaraz przyjdę.

Przeprosiwszy panią Carter, której objaśniła powód swej nieobecności, pani Denbigh spokojna i pogodna przeszła przez sień i weszła do apteki, gdzie na nią czekał nieznajomy mężczyzna.

ROZDZIAŁ V.

„Lękałem się okrutnych skał oceanu,
A w tem wzniosły się burzliwe fale,
I odtrąciwszy mię od swego łona,
Rzuciły na łup okrutniejszych ludzi.“

Pokój, zwany apteką słabo był oświecony, jedną łojową świeczką, pani Denbigh wchodząc do niego, poczuła oprócz zwykłego aptecznego zapachu, mocną woń tytoniu zionącą jak się zdawało z wielkiego poręczowego krzesła, na którem siedział z wyciągniętemi nogami wysoki, barczysty mężczyzna, ubrany niedbale w wiszącą myśliwską kurtę. Za wejściem pani Denbigh zerwał się okazując twarz czerwoną i ogorzałą, okoloną lasem czarnych włosów i takąż brodą, oraz gołe ręce, widocznie spracowane i zczerniałe. Pani Denbigh stanęła milcząca, zaniepokojona nieco widokiem tej pół dzikiej postaci; nieznajomy także zdawał się zdziwiony, jak gdyby śliczna postać, która się przed nim zjawiła w powłóczystej aksamitnej sukni, ze srebrnemi zausznicami w różowych uszkach i takimże naszyjnikiem na białej utoczonej szyi, nie była podobną do obrazu żony doktora, jaki sobie w myśli utworzył. Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, ukłonił się z uprzejmą grzecznością, która przekonała panią Denbigh, że nie miała przed sobą takiego gbura jak się zdawało, i rzekł głosem o wiele delikatniejszym, niż można się było spodziewać po jego zaniedbanej powierzchowności:

— Przepraszam panią, zdaje się że wcale nie w porę przybyłem, pana Denbigha nie ma w domu, czego mocno żałuję?

— Mój mąż wyjechał do Londynu, odpowiedziała Elsie sama stojąc, i nie prosząc go siedzieć, tak jakoś nie mogła zupełnie przyjść do siebie; ale spodziewam go się jutro, a najdalej pojutrze. Czy pan życzy sobie zostawić jaki list do mego męża?

— Nie, pani. Sądzę że pani sama potrafi mi udzielić potrzebnego objaśnienia: chodzi mi tylko o adres kapitana Claveringa.

Elsie drgnęła jak gdyby ją kto sztyletem w serce ugodził. Pierwszą jej myślą było że ten nieznajomy, dla jakiejś niewiadomej jéj przyczyny, chciał jej dokuczyć, lub obrazić ją okrutnym żartem. Następnie przypuściła że mógł być dawnym przyjacielem jej pierwszego męża, i nie wiedzieć że żona Filipa Denbigha była wdową po Herbercie Claveringu. Uczuła się nagle zmieszaną i zawstydzoną jak gdyby była popełniła występek który ma w tej chwili wyjść na jaw; pragnąc jak najprędzej pozbyć się niemiłego gościa odpowiedziała mu:

— Więc pan nie wiesz że on się znajdował na *Ametyście*, który się rozbił przed siedmią laty.

— Właśnie też. Kiedyśmy się rozstawali w Aucklandzie, powiedział mi że pan Denbigh jest jego najlepszym przyjacielem, i że gdybym kiedykolwiek nie wiedział gdzie go szukać, u niego zawsze się dowiem z pewnością o miejscu jego pobytu. Trzeba pani wiedzieć że byliśmy nieodstępnemi towarzyszami z poczciwym Claveringiem. Może pani nawet znajome moje nazwisko — Johan Smith.

Tu przypomniała sobie pani Denbigh ustęp z pierwszego listu biednego Herberta, w którym wspominał że przyjął na pokład *Ametystu* dawnego znajomego tego nazwiska, który się udawał do Nowej Zelandyi. W tej chwili zapomniała o swojem fałszywem położeniu, nawet obawa zazdrośnego gniewu Filipa ustąpiła przed chęcią wybadania człowieka, który widział jej męża tak krótko przed jego zgonem. Zawołała więc skwapliwie:

— O tak! znam pańskie nazwisko. Wszakże pan byłeś jednym z pasażerów *Ametystu?* I czy na długo przed jego rozbiciem opuściłeś go pan? Bo wiadomo panu że *Ametyst* się rozbił.

Teraz pan Smith z kolei okazał się zdziwionym.

— Naturalnie że się rozbił, ten potępieniec, rzekł, nie wart żeby na nim psa wysłać na morze, a nie dopiero chrześcijańskie dusze. Ja to byłem towarzyszem Claveringa na wyspie; dopiero w Nowej Zelandyi rozłączyliśmy się, i od tego czasu nie wiem co się z nim dzieje. Tak mu się poszczęściło, że parowiec odpływał do Anglii tego samego dnia kiedyśmy wylądowali, i on zabrał się na nim, nie tracąc nawet czasu na kupienie sobie nowej odzieży. Ale zdaje mi się, dodał uprzejmie pan Smith, że się jakoś nie dobrze rozumiemy.

Skąd pochodzi cudowna siła która umacnia ludzkie serca w chwilach nadzwyczajnych przesileń? Któż z nas nie doznał kiedykolwiek odrętwienia które w takich chwilach ogarnia duszę, zostawując nam swobodę działania, ale odejmując władzę czucia? Taki był stan Elsie Denbigh.

Chociaż nie wątpiła że jest bliską zrobienia jakiegoś strasznego odkrycia, nie doznawała dotkliwej boleści, ale była zdolną odgrywać swoję rolę, jak to czasem się dzieje przez sen, przyjmując wszystko z niewzruszoną obojętnością, patrząc na siebie niejako z zewnątrz, i dziwiąc się niewyraźnie własnemu położeniu i własnej spokojności.

Łagodnym przeto i niezmienionym głosem przemówiła.

— Bądź pan łaskaw usiąść. Ja rzeczywiście nie dobrze pana rozumiem.

A usiadłszy sama, przysunęła swoje krzesło do stołu, który ich rozdzielał, i oparła głowę na ręku, instynktownie twarz zasłaniając.

— Opowiedzże mi pan teraz, jeżeli łaska, rzekła jeszcze, o sobie i panu Claveringu. Pan byłeś na okręcie podczas jego rozbicia, czy tak pan mówiłeś?

— Dziwna rzecz! pomyślał pan Schmith. Widać że pan Denbigh nie zwykł opowiadać o przygodach swego przyjaciela. Będę musiał się tem zająć i zaspokoić jej ciekawość, bo prędzej nie dostanę adresu Claveringa.

— Ja myślę że byłem! odpowiedział głośno. Ach! co to była za okropna przeprawa! Spodziewam się, że pani nie będziesz nigdy nic podobnego słyszała.

— Słyszałam, że to miała być straszliwa burza.

— O tak! straszliwa, w całem znaczeniu tego wyrazu. Potem przepędziliśmy sam nie nie wiem ile godzin w otwartej łodzi miotanej na wszystkie strony przez rozhukane fale, Clavering, ja, i kilku innych. Nakoniec wśród najzupełniejszej ciemności wpadliśmy na skałę, łódź nasza strzaskała się w oka mgnieniu, a my wszyscy wpadliśmy w morze! Brwr! nie miło dziś jeszcze o tem pomyśleć! Przepędziłem najokropniejszą noc uczepiony do skały, zanurzony do pasa w wodzie, co chwila oczekując rychło mię fale uniosą, pewny niemal że sam jeden z pomiędzy mych towarzyszy przy życiu dotąd pozostaję. Gdy nakoniec dzień zajaśniał, ujrzałem tuż przy sobie Claviringa, reszta wszyscy zginęli biedacy! Znajdowaliśmy się na długiej rafie podwodnej, po której z wielkim trudem wdrapaliśmy się na wysepkę, która sama była także tylko skałą. Nie znaleźliśmy tam nic innego na pożywienie prócz cieląt morskich, które wcale nie są przysmakiem; jednakże potrafiliśmy przez dwa lata przeszło dusze nasze w ciałach utrzymać!

Pan Schmidt zamilkł; dziwno mu było, że słuchająca go postać ani się poruszyła, ani słówka się nie odezwała. Po chwili mówił dalej:

— Nakoniec zostaliśmy wyswobodzeni przez statek z Nowej Zelandyi, który przybył na połów cieląt morskich i potem, jak już pani mówiłem, rozstaliśmy się, ja się udałem w głąb kraju, a Herbert Clavering popłynął do ojczyzny. Od tego czasu nie miałem żadnej wiadomości od niego, ani o nim. Czy pani mi niemoże nic powiedzieć, gdzie się znajduje?

— Nic, odrzekła głucho. Ja nic nie wiem o nim. Nie mogę panu nic powiedzieć.

— To osobliwsza! Przecież pan Denbigh musiał go wiedzieć po jego powrocie? Wiem z pewnością że szczęśliwie przypłynął do Angli, wiem przynajmniej że okręt na który wsiadł przypłynął, bo mi później wpadł w rękę stary Times w którym znalazłem wymieniony dzień jego przybycia! Było to 14-go Stycznia, właśnie dziś trzy lata temu.

14-ty Styczeń! trzy lata temu! Wigilija jej ślubu! Te myśli tłoczyły się w głowie Elsie Denbigh, ale czucie jej ciągle było odrętwiałe i nie umiała sobie zdać sprawy z tego co się z nią działo. Jedno wszakże pytanie gwałtem z ust jej się wydzierało, nic innego nie pojmowała.

— Nic niewiem, powtórzyła jeszcze a brzmienie jej własnego głosu dziwnie się odbiło w jej uszach. Ale chciej mi pan jednę rzecz powieźżieć. Słyszałam, mówiono mi, że żona pana Claveringa dała mu pierścionek żegnając się z nim po raz ostatni. Nie pamiętasz pan czy go miał kiedy na palcu?

— O pamiętam! Clavering miał pierścionek, dosyć kosztowny pierścionek z rubinem, jak mi się zdaje. Mówiłem mu zawsze że to wielkie szczęście dla niego że miał trochę pieniędzy zaszytych w trzosie w chwili kiedyśmy zostali wrzuceni w morze, bo sądzę że byłby wolał całe życie zostać na wygnaniu, niżeli sprzedać ten pierścionek dla zapłacenia za swój przewóz, tak mu był drogim!

— A może pani by mogła, rzekł nagle pan Smith jakby uderzony nagłą myślą—może pani by mogła mi wskazać gdzie znajdę panią Clavering, jeżeli samego Herberta nie ma w Anglii.

W tej chwili zmysł nieszczęśliwej kobiety ogarnął w prawdziwem świetle wszystkie szczegóły przeszłości. Przypomniała sobie nieznajomego, którego dziwnie zaniedbana powierzchowność zwróciła uwagę starej Isott, stanęła jej w oczach blada i zmieniona twarz męża w dzień ślubu, wspomniała na jego szalony gniew, kiedy znalazła nieszczęsny pierścionek; przeszła myślą wszystkie okoliczności jego choroby, wszystkie jego dziwactwa, i zazdrosną obawę i zmierzyła pewnym okiem bezdenną otchłań występku i nieszczęścia która się nagle pod jej stopami roztwarła. Wiedziała już, że Herbert wylądował w Anglii w przeddzień jej powtórnego zamęzcia, wiedziała że mijając drzwi swego dawnego przyjaciela nie mógł się wstrzymać, żeby nie wstąpić na chwilę do niego, choćby tylko dla dowiedzenia się o nią; słowem pojęła całą okropną rzeczywistość!

Gdy pan Schmidt znowu przemówił, zdawawało jej się że głos jego mięszał się z dolatującym hałasem bawiących się dzieci, a obadwa te odgłosy zlewały się w groźny huk spienionego morza które oszczędziło kochającego ją człowieka, srozszy dlań los zachowując. Czując że ją zmysły opuszczają powstała szybko, aby wyjść z pokoju, lecz nie obliczyła się z siłami, ciemno jej się w oczach zrobiło i padła bez duszy na ziemię.

Na odgłos tego upadku, Issot wpadła do pekoju, gdzie natychmiast za nią pośpieszyli oboje państwo Carter. Pan Schmidt tymczasem podniósł z ziemi panią Denbigh, i położył ją omdlałą na sofie.

— Cóżeś to wacpan jej zrobił? zapytała oburkliwie stara sługu, zwracając głowę swej pani ku oknu, które wikary śpiesznie otworzył. aby ją orzeźwiło świeże powietrze, założyłabym się że znowu jaki urzędnik z telegrafu, mruknęła ciszej. Bodajby przepadły ich przeklęte telegrafy. Nie rozumiem jak ludzie mogą zachwalać takie rzeczy, jak gdyby złe wiadomości nie dosyć prędko pocztą przychodziły!

— Co się to stało? zapytała pani Carter lecz Isott przerwała jej porywczo:

— Niech pani o nic nie pyta, na miłość Boską, bo nigdy jej nie docucimy. Idź pan sobie stąd, mój panie, my z panią Carter musimy same z nią pozostać. *(d. n.)*

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Zwycięztwo Heleny, powieść przez Z. K. Warszawa. Nakładem księgarni Stoppelle i Stan. 1875 r. str. 314, 8-ka duża, cena rs. 1. odbitka z „Wieku.“

Autor czy autorka tej powieści, snuje na skromnej tkance powszedniego żywota cichy dramat walki uczuć serdecznych. Kobieta, której los przypadkowy zamknął na długo raj młodzieńczej miłości, która pierwszy poranek życia złożyła na ołtarzu ofiary, staje do walki z niezagłuszonemi pragnieniami serca. W piersi szlachetnej istoty budzi się zakazane uczucie; urocza mara miłości z nęcącem obliczem syreny, staje przed wzrokiem podniosłej duszy.

Widzimy najprzód przed sobą dziecięcą postać młodziutkiego aniołka, którego dusza śpi snem niewiadomości, nie zaczerpnąwszy jeszcze ani jednej kropli z kielicha życia. Natura, ozdobiwszy niebiańską krasą lica dziewczęcia, nie zapomniała też o duszy i złożyła w tej czystej skarbnicy nadobne kwiecie podniosłych uczuć i pragnień. Przed zachwyconą wyobraźnią czytelnika widnieje cudny kwiat, nieświadomy piękności barw swoich, kwitnący uroczo pod ożywczymi promieniami słońca, wśród błogiej szczęśliwości, bez troski i goryczy.

Ale wnet silna dłoń losu powołuje do życia walki, tę słabą napozór istotę. Najpiękniejszym skarbem duszy dziewczęcia jest szlachetna skłonność do poświęceń i ofiary. Kiedy raz pierwszy ukazała jej się blada mara niedoli bratniej i upadku moralnego w postaci zaniedbanej dzieciny wiejskiej, łza współczucia zrosiła te lica, na których jaśniał dotąd tylko wesoły uśmiech radości. Ioto pierwszy raz odkryły się spoczywające w uśpieniu skarby pięknej duszy, pierwszy raz ta pierś dziecięca jeszcze zapragnęła złożyć na ołtarzu niedoli bratniej nadobne kwiecie czynu i poświęcenia. Wnet też mniemany obowiązek powołał ją do wielkiej ofiary. Któż był przedmiotem tej ofiary? Oto szlachetny człowiek, co w jesieni życia zapragnął ożywczych promieni, których mu wiosna poskąpiła. Kiedyś w dniach młodości kochał on całą potęgą duszy uroczy ideał kobiecy, ale na samym progu szczęścia los okrutny wydarł mu ten skarb najdroższy. W wiliją ślubu ujrzał martwe ciało najdroższej istoty, wydarte falom wody. Po dniach piekielnej rozpaczy, nastąpiła cicha tęsknota na cmentarzysku najserdeczniejszych uczuć, która się wlokła zwolna za swą ofiarą, nie złamawszy jednakże potężnego ducha. Pan Józef Zaborski (tak się nazywał nasz bohater) poświęcił się skromnej pracy w zaciszu życia wiejskiego, działając wiele dobrego dla wszystkich, którzy tylko potrzebowali pomocy. Natura to była wzniosła, szlachetna i wspaniałomyślna. I tak snuło się zwolna jednostajne pasmo pracy i poświęcenia, aż i smętna jesień życia zajrzała w oczy i posrebrzyła skronie. Ale ciało było jeszcze krzepkie, a duch czerstwy i młodzieńczy. Nic więc dziwnego że na widok dziewczęcej postaci, która przypomniała mu żywo najdroższą w życiu istotę, zadrgała silniej gorąca jeszcze pierś starego kawalera. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że Helenka była siostrzenicą narzeczonej p. Zaborskiego i lica jej uderzały rażącem podobieństwem do zmarłej. W sercu Józefa zatlił się ogień tej miłości, która jest ostatniem słońcem życia i którą tylko wraz z życiem z piersi wyrwać można. Helena kochała swego kuzyna serdecznem uczuciem, którem młodość ozłaca niekiedy posiwiałe skronie! kochała go jak

ojca i szlachetnego człowieka. A tymczasem miała poświęcić mu całą młodość swoję, do starej piersi przytulić się na zawsze. Nic więc dziwnego, że usłyszawszy tę wiadomość od matki, zadumała się głęboko. Piewszy to raz przed dziecięcą jej duszą stanęła poważna zagadka życia; z dziecka miała powstać kobieta, —żona. W piersi dziewczęcia żywsze pragnienia młodzieńczego serca spoczywały jeszcze w uśpieniu, ale jakiś instynkt wewnętrzny powiadał, że do innego losu miała słuszne prawo. Ale skoro stanęła przed jej duszą ta smutna prawda, iż od niej jedynie zależy całe szczęście najszlachetniejszego z ludzi, postanowiła spełnić mniemany obowiązek, zaświecić ostatnią jutrznią pociechy dla człowieka, ku któremu czuła serdeczne przywiązanie i cześć bez granic. Przed spełnieniem tej ofiary jedna okoliczność znacznie ją spotęgowała. Nikczemny młodzian, przyoblekłszy się w maskę szczerości i uczucia, stanął przed uśpioną duszą dziewczęcia z wrzącymi słowami miłości i roztlił w niej ogień nieznanych dotąd pragnień. Nic więc dziwnego, że przed samem spełnieniem ofiary zachwiała się mężna dusza dziewczęcia. Ale na jedno słowo matki: „biedny, on zawsze nieszczęśliwy!“ stanęła znów przed nią postać człowieka, dla którego była ona jedynem, ostatniem szczęściem życia, i dziewczę mężnie spełniło swój obowiązek!

Oto pierwsza, wstępna można powiedzieć faza uczuć, przez jakie przeszła bohaterka nasza. Teraz rozpoczyna się druga, nierównie dramatyczniejsza. W samej rzeczy należy przyznać, że autorka nader oryginalnie i szczęśliwie postawiła kwestyję. Widzimy tu walkę dwóch silnych uczuć: z jednej strony nieugaszone pragnienie młodzieńczego serca, z drugiej poczucie obowiązku, szczere przywiązanie i serdeczna cześć dla najszlachetniejszego z ludzi. Autorka rozwinęła tu cały proces głębokich a ukrytych uczuć, analizując je nader umiejętnie. Nie widzimy tu jaskrawych dramatycznych sytuacyj; cały dramat snuje się w piersi bohaterki. Podziwiamy tu subtelną a głęboką analizę psychiczną, jaką rzadko u powieściopisarzy naszych napotkać można, a zarazem prawdę nieporównaną w całym rozwoju procesu duchowego. Autorka wstępuje na ślizką bardzo drogę, na której często potykają się większe nawet talenta. W piersi Heleny zagorzał ogień uczuć zakazanych. Przed rozbudzoną zaledwie duszą kobiety, staje ułudna mara najsłuszniejszych pragnień młodości. Niepodobna, aby ten kwiat wiosenny miał zwiędnąć w chłodnem objęciu jesieni; niepodobna, aby młodość pozostała na zawsze w ucisku starości. Trzeba doprawdy tytanicznej potęgi ducha, aby nie upaść na ciernistej drodze, aby nie tknąć ani razu nęcącego kielicha zakazanej słodyczy. Są popędy, gruchoczące najsilniejsze zapory cnoty. Czyż podobna zabronić kwiatom wiosny, aby zrzekły się na zawsze ożywczych promieni słońca; czyż podobna zabronić młodości, aby wyparła się na wieki tych uczuć, które wrzącą lawą płyną w jej łonie!

Jakiż talizman daje autorka swej bohaterce na tę trudną i ciernistą drogę zaparcia się najgoretszych uczuć i pragnień, jakie siły psychiczne stawia na straży domowego ogniska? Bardzo proste, zaiste, ale potężne — poczucie obowiązku i myśl, że spełnić powinna rozpoczętą ofiarę, że będąc ostatnią jutrznią życia szlachetnego starca, niegodną zdradą zabiłaby kochające serce.

Rozpoczyna się więc długa ukryta walka, której różnorodne odcienia skreśliła autorka z niepospolitym artyzmem. Gdy wśród tej walki upadał duch kobiety, powtórzyła tylko w duszy te słowa: „uczynię go szczęśliwym,“ i wnet nową potęgę wlały one do zbolałej duszy. Miała więc przed sobą cel wielki, szlachetny, uszczęśliwienie biednego starca. Duch poświęcenia powstał w całej potędze swojej i zwalczał mężnie gwałtowne porywy młodzieńczego serca.

Ale przypatrzmy się bliżej temu, który roztlił ogień nieznanych uczuć w piersi Heleny. Pan Witold Leśniowolski przedstawia typ bardzo ujemny. Zepsucie moralne silnie zgangrenowało pierś młodziana. Podobny on był do pięknej rośliny, która pod zewnętrznym powabem kryje jad zabójczej trucizny. Bohater nasz był w samej rzeczy pięknym bardzo młodzieńcem; ale w duszy jego lęgła się gadzina najniższych popędów. Bezczynna wegetacyja i używanie darów bożych, stanowiły wyłączny cel jego życia. Marnotrawstwo, hulanka i kobiety wypełniały je całkowicie. To też korzystał z każdej sposobności, jaka mu się w tym względzie nadarzyła. Zdolny był z największą bezczelnością, kłamać miłość szczerą i gorącą. Odepchnięty przez dumną emancypantkę, pannę Emiliję Żubrowską, zwrócił się do podstarzałej mężatki pani Klaudyny. Ale wnet opuścił ją dla smaczniejszego kąska, którym była właśnie bohaterka nasza. Kłamanem więc wyznaniem miłości przed ślubem jeszcze zatlił pierwszy płomyk uczucia w naiwnej duszy dziewczęcia, pragnąc tym sposobem nabyć praw *przyjaciela domu* po ślubie. Niepomny na serdeczną przyjaźń, jaką okazywał mu stary towarzysz zmarłego ojca, wdziera się z niecnym zamiarem do domu p. Zaborskiego, usiłuje skalać świętość domowego ogniska i zatruć życie zacnego człowieka. A przystępuje do tak niecnych zamiarów z zimnem wyrachowaniem, bez iskry serdeczniejszych uczuć. Nie zraża go zimna obojętność którą bohaterka nasza pragnie się osłonić przed pociskami młodzieńca. Pełen próżności i wiary w swe siły, zmierza szybko do celu, nie wątpiąc ani na chwilę o zwycięztwie. Ale Helena pokazuje się niezwalczoną. Wsparłszy się na ramieniu zacnego męża, stoi walecznie na straży domowego ogniska. Wreszcie Witold zdobywa się na krok stanowczy; wynurza kłamane uczucia. Helena z dumą odtrąca go od siebie. Wierząc w szczerość uczuć młodzieńca, spełnia czyn prawdziwie bohaterski. Zbyt długie są dzieje walki, jaka toczyła się w piersi nieszczęsnej kobiety, abyśmy szczegółowo opisać ją mogli. A widzimy tu różnorodne fazy, zręcznie nader pochwycone i z głęboką prawdą psychologiczną skreślone.

Wreszcie bohaterka nasza odzyskuje straconą wolność. Zrosiwszy łzami szczerego żalu grób człowieka, którego postać pozostaje dla niej na zawsze świętą relikwiją przeszłości, przywdziewa żałobne szaty. Zdawałoby się, że teraz nastąpi już rozwiązanie, że wolna od krępujących ją więzów rzuci się w objęcia ukochanego. Ale oto prócz świeżej mogiły stanęła między nimi silna zapora. Helena odkryła nicość moralną Witolda, i skoro ten w celach finansowo-matrymonijalnych oświadcza się bogatej dziedziczce, odrzuca go z pogardą, i zamyka mu na zawsze wstęp do swego domu. Fakt ten sprawia dziwny zamęt szybkie odrodzenie w duszy młodzieńca. Wprowadziwszy w tę nową fazę swego bohatera, autorka schodzi z drogi prawdy psychicznej, wpada w błędne rozwiązanie sytuacyi. Nagłe odrodzenie się Witolda nie opiera się silnie na gruncie psychologicznym. Przytem dziwnie okupuje on błędy przeszłości. Oto rzuca się nagle na pole literatury i zacnymi a serdecznymi myślami, które wypowiada w krytykach, felijetonach i innych pracach piśmienniczych, zjednywa sobie przebaczenie. Młodzieńcowi, niezdolnemu do żadnej pracy, każe autorka być literatem i nauczać prostaczków. Mały komplement dla piśmienniczej rzeszy!

Odniosła więc bohaterka nasza dwa zwycięztwa: jedno nad uczuciami swemi, drugie nad upadłym człowiekiem, odrodziwszy go do nowych pragnień życia! Jednakże pierwsze tylko zwycięztwo poczytujemy za zasługę autorce; drugie z przyczyny swej nienaturalności stanowi ujemną stronę utworu. Śmiemy sądzić że lepiej by może było, gdyby autorka wybrała na bohatera powieści postać dodatnią. Walka byłaby równie dramatyczną, a pierwsze zwycięztwo dostatecznem dla uwieńczenia bohaterki utworu prawdziwie poetyczną aureolą.

Drugorzędne postacie w powieści p. Z. K. skreślone są z prawdziwym artyzmem i głęboką prawdą życiową. Dzielnym jest typ emancypantki Emilii, młodego doktora — kobiety. Dziwimy się tylko, że skreśliwszy podobną postać i dozwoliwszy jej dojść do szlachetnego celu, w nieprzychylnem i w ogóle nie jasnem świetle przedstawia autorka sprawą wyzwolenia kobiecego. Postać Emilii przedstawia się z początku w bardziej ujemnych barwach.

Całe przeprowadzenie sytuacyj, grzeszy nieco brakiem artystycznego obrobienia pojedyńczych obrazów, pewnem niewykończeniem w częściach a niekiedy i usterkami stylowemi. Szczególniej dyjalogi zbyt mało są ożywione. Lecz oryginalne nader postawienie kwestyi i głęboko a subtelnie skreślony proces psychologiczny, sowicie wynagradza te drobne usterki.

Ant. Pilecki.

Дозволено Цензурою. Варшава 2 (14) Октября 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego,— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 нову).

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.